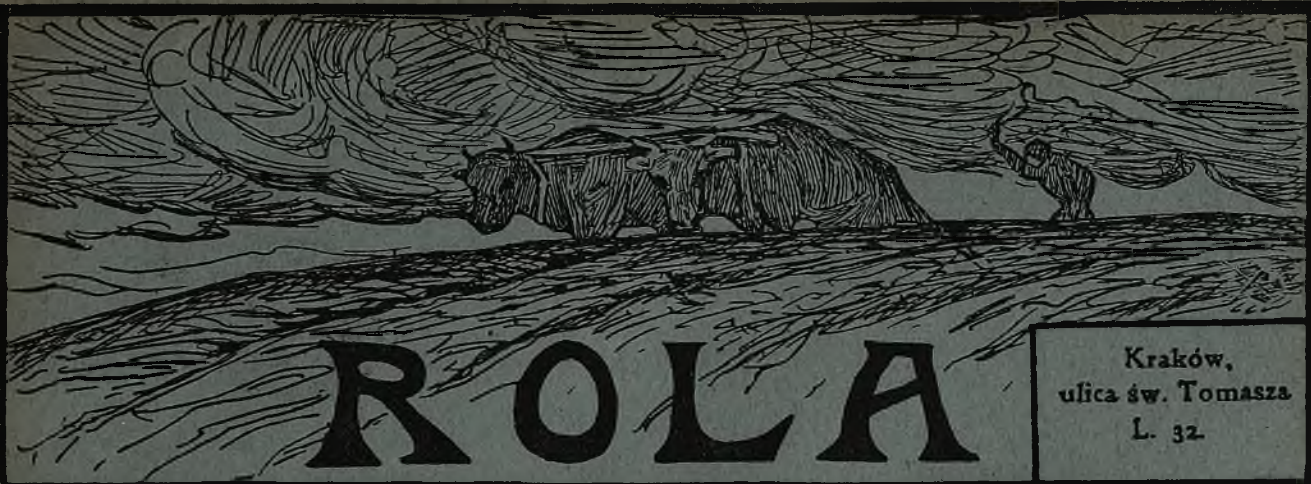
Numer 52. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 28 Grudnia 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Jak sobie wytłumaczył.

Niejakiemu Bonifacemu Krzysztofowi Marudzie ukradł chłop konia, który miał na boku wypalone pierwsze głoski imienia i nazwiska właściciela, to jest B. K. M. Gdy owego chłopa złapano i przed sąd stawiono, rzekł do niego sędzia:

— Umiesz ty czytać?

— Cokolwiek.

— A więc przyznasz sam, że ten koń, którego u ciebie znaleziono, należy do Banifacego Krzysztofa Marudy, co dowodzą litery B. K. M. na boku tegoż konia wypalone.

— Wielmożny sędzio! — odpowiedział chłop, ja zaś wcale inaczej tłumaczyłem sobie te litery, to jest, że B. znaczy Bierz, K. konia, M. Maćku, a że ja się nazywam Maciek, więc wziąłem owego konia jak swego.



W sądzie.

Sędzia: Więc świadek zeznaje, że Bartek utopił się przypadkowo? Na jakiej podstawie świadek to twierdził?

Świadek: Bo proszę łaski pana sędziego, gdy Bartka z wody wyjęli, miał w kieszeni flaszkę z wódką, więc jakby się topił umyślnie, to byłby wódkę wprzód wypił.

Rozbrojenie.

Mąż do żony, powróciwszy do domu nad ranem, w stanie podchmielonym:

— Uwa... żasz, Magdziu, po... połóż tę trzepaczkę! W Lidze... Narodów jest te... raz właśnie sprawa rozbrojenia.

Sielsko-anielsko.

W pewnej miejscowości we Włoszech odbywają się wycieczki w góry na osłach, które wynajmuje oberżysta miejscowy.

— A dużo też macie osłów? — zapytuje usługującego pewien jegomość.

— To zależy. Jak jest więcej gości, to jest i więcej osłów.



Nie kąsa.

— Trzymaj pan swego psa, bo mnie jeszcze ukąsi!

— Ależ skąd! On wcale nie kąsa!

— To dlaczego wciąż szczerzy zęby?

— Gdyby pani miała takie ładne zęby, jak ten pies, toby je pani także do każdego szczerzyła. .



Odciął się.

Chłop (przystępując do grupy ludzi, przypatrujących się czemuś):

— Co tutaj zaszło?

Młody panek, chcąc zadrwić z wieśniaka, odpowiada:

— Krowa jaje zniosła.

Chłop: No, to z tego napewno taki wół wylezie, jak pan nim jesteś.

U piekarza.

— Mamusia każe się kłaniać i kazała zapytać, czemu bułki są takie małe?

— Ano, powiedz mamusi, że dopiero przed godziną się urodziły.

Numer 52. Rok XIII. Kraków, dnia 28 grudnia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Z OPŁATKIEM.

Na polach, gdzie okiem sięgnąć, widzimy wszędzie biały całun śnieżny, pokrywający matkę-ziemię, która wydawszy z siebie w ciągu lata wszelakie swe plony, spoczywa jak ciężko spracowany człowiek. Niepokalana biel śnieżna przyodziała ją w swój skrzący brylantami płaszcz, nakrywając ją niejako do snu zimowego. Przyroda cała niby w niemym lęku, oczekuje z utęsknieniem świętej, poważnej chwili, chwili przyjścia na świat Zbawiciela.



Anioł pasterzom mówił: Chrystus się wam narodził.

Zajaśniała na niebie gwiazda betlejemska, zwiastująca ludzkości wybawienie z niewoli grzechu, niewoli szatana. W tej poważnej i świętej chwili musimy się radować wszyscy, zwłaszcza my Polacy, w wolnej, odrodzonej Ojczyźnie, którzy stanowimy jedną, wielką rodzinę polską. Życzmy jeden drugiemu przy tym tradycją uświęconym opłatku zgody i miłości wśród dzieci jednej wspólnej matki-ojczyzny. Niech ta miłość otoczy każdy nasz czyn, każde nasze życzenie. Jako bracia, synowie jednej matki-ojczyzny, łączmy się w jedno, a połączeni razem w jeden silny węzeł, dokażemy cudów, gdyż wiemy o tem, że „w jedności siła".

„Bóg się rodzi... Bóg zgody — Bóg miłości. Oby ta miłość weszła wraz z wigilijnym opłatkiem pod strzechy nasze i pozostała nazawsze między nami. Oby serca nasze ogrzane ciepłem domowego ogniska, promieniowały zgodą i miłością braterską i aby promienie płynące z tych ognisk nabierały coraz większej siły i wpływu tam, gdzie panuje błędne między ludźmi mniemanie, że można się obejść bez miłości bliźniego, bez miłości Boga.

Moc truchleje... Moc złości ludzkiej, moc waśni i nienawiści, moc zrodzona w piekle, pierzchnie struchlała w nieznane strony, widząc nas złączonych przez zgodę i miłość braterską w jedno wielkie, silne, stalowe ogniwo, którego nie zdoła rozerwać żaden wróg.

Niech ta wielka — święta chwila przy wigilijnym opłatku, tym symbolu łączni duchowej pokoleń, symbolu miłości i zgody wzajemnej jednego Boga i jednej Ojczyzny.

A Ty, Boże dziecię, podnieś swą rączkę i błogosław nas, jako tych, którzy się wzajemnie miłują. Daj nam wytrwać w zgodzie i jedności, abyśmy jako dzieci jednej Ojczyzny mogli jej całem sercem służyć i w miłości a jedności dążyć do zapewnienia jej bytu, szczęścia i rozwoju. Użycz nam mocy ducha, abyśmy nie byli jako liście miotane przez wichry, ale twardzi jako stal w obronie najwyższych praw Boga, w obronie Matki-Ojczyzny. Do uzyskania pokoju i szczęścia potrzeba tylko dobrej woli. Nawet sami aniołowie oznajmili o tem światu, śpiewając: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Piotr Wenc.

Bezimienny bohater.

Żołnierzom o nieznanych nazwiskach, którzy legli snem wiecznym na dalekich i nieznanych polach, tym, którzy szaleństwo czynu i poświęcenia pieśń życia swego będącego w rozkwicie młodości zakończyli akordem bohaterstwa — poświęcam

Była już późna jesień... Nadchodziły dni szare i pochmurne. Wiatr zimny obijał się o nagie szkielety drzew. A jednak naprzekór szarugom jesiennym w sercach wszystkich Polaków kwitła cudna wiosna. W całej Polsce był jakiś świt jedyny wiosenny. Dlaczego?!... To Ojczyzna nasza po latach niewoli budziła się ze snu, zrzucając z siebie jarzmo wiekowe. I szły długie szeregi polskich żołnierzy pod znakiem Orła Białego, by rzucić się w piekielny taniec wojny, w wir walki. Szli starzy i młodzi, by złożyć swe życie na ołtarzu Ojczyzny i spocząć onem snem wiecznym, gdy zajdzie potrzeba konieczna. Szli bez różnicy stanu, wieku i wyznania...

W pomruku wieków, dzisiaj, w tej chwili, gdy gwiazda zabłysła na niebie płyną, rozbrzmiewają się znane wszystkim, całemu światu słowa: „Bog się rodzi". Rzesze wiernych zapełniają świątynie. Pieśń idzie, płynie ta melodja, całą potęgą tonów uderza pod niebiosa okryta chwałą, tchnięta radością: Chwała idzie Panie, wieczna chwała!!!

Za stołami suto zastawionemi siedzą ludzie. Opłatek przechodzi z rąk do rąk, łamie się, ginie w ustach. Słowa szczerych i pomyślnych życzeń wiąże uścisk dłoni i pocałunek. Wszyscy się cieszą i radują, gdyż dzisiaj narodził się Zbawiciel świata.

Widać jak przez czarne chmury dymu spływa na świat, leci czysty i jasny, dzwoni w ludzkich sercach, zewsząd bije blaskiem, wieje hymn pochwalny — hymn wolny — wspaniały „Bóg się rodzi".

Żołnierskie serca biją jak dzwon. Wśród fal losów złych oni zawsze przy Tobie. „Bóg się rodzi..."

...Wówczas kiedy inni zdaleka od niebezpieczeństw i trudów, w ciepłych, jasnych izbach radują się...

...Nad okopami żołnierskiemi zawisło widmo śmierci. Gradem żelaza świszczy i rozdziera, wywraca, orze, leci, wyje, ogniem pluje, ogniem wzbiera — huragan zagłady. Ciemna i długa noc jaśnieje krótkiemi i oślepiającemi błyskami upadających pocisków. Okopy jęczą i drżą jakąś skargą bolesną. Ziemia jak fontanna wylatuje do góry unosząc z sobą cząstki ciał ludzkich i purpurową krew. Za chwilę opada z głośnym hukiem niezbrudzona w swoim kolorze jakby niewinna.

Gdzie rzucić okiem widać powykrzywiane w bezgranicznym lęku i trwodze twarze żołnierzy. Słychać skomlenie jakieś, skargę wyrywającą się z piersi ludzi ginących za Wolność Ojczyzny.

Nieubłagana śmierć rozpostarła nad nimi swe ręce. Zabiera jednych powoli tuląc do swego zlodowaciałego ciała. Pozostawia innych przy życiu jakby się chciała nacieszyć ich lękiem i strachem. Wiewem swym ogarnia ich wszystkich. Odczuwają jej obecność, jej krążenie nad swoimi głowami. Każdy z nich modli się o wybawienie.

Chcą żyć!

Niektórzy poruszając blademi wargami odmawiają głośno modlitwy. Wszystko zagłuszają pociski.

Obsypująca się ziemia grzebie pod sobą ciała żołnierzy. Ziemia drży. Serca żołnierzy mocą strachu objęte.

Gdzieś słychać płacz. Gdzieś płyną łzy. Giną ludzie w ogniu i dymie. Słychać szept jakiś. Zdaje się, że to płacz. Słychać?!... Nie!

On cicho padł i skonał w blasku pocisku. Legł z twarzą bladą lecz spokojną. Zatartych i niedokończonych słów nikt z jego ust już nie usłyszy. Legł cichy, bez buty i dumy za Polskę.

W oddali płoną domostwa. Padają wielkie drzewa. Krwią się poi nienasycona i drapieżna ziemia. Drży las od granatów. Kule w pnie walą tępo i głucho jak siekiera.

Ktoś znowu zginął.

O! śmierć jak żałobny tkacz owija zimne ciało bohatera. O! jęk. Ktoś się znowu zwalił, ktoś wolno idzie do zaświatu.

Gdzieś odezwał się znowu jęk.

Nie! to nie jęk. To szept żegnających pozostałych przy życiu i świat.

Skonał. Miał bujne jak len włosy. Dziecko prawie. Karabin mocno dzierży w rękach, jakby chciał po śmierci jeszcze nim walczyć.

Bór się znowu zatrząsł. Armaty zagrały, granaty biją, pustoszą. Bezczynne bagnety ciemnieją im od dymu, twarze goreją od żaru. Z pod hełmów spływają krople potu.

Słychać zgrzyt pękających belek okopu.

Jęki.

Cisza.

Opodal, na błotnistej i słabo pokrytej śniegiem ziemi siedzi dwóch żołnierzy. Otuleni lekkim i chłodnym wiatrem nocy, przylgnięci do siebie jak dwie wielkie bryły ziemi, drżący z zimna i lęku patrzą w niebo zasłonięte ciemnemi chmurami. Jeden z nich podniecony, nieznacznie poruszając wargami mówi:

— Czy dzisiaj narodził się Bóg, Stachu!?

— Tak Jankielu, dzisiaj.

— I nie chce wasz Bóg uchronić nas od śmierci?

Stach nic nie odpowiedział. Oczy żyda Jankiela o nieznanym dotąd nikomu nazwisku, utkwiły w twarzy Stacha. Słyszał wyraźnie jak z ust jego

płynęła cicho pieśń: „Bóg się rodzi". Widział jak powieki kolegi zaczęły nerwowo drgać, a po chwili wycisnęły z pod siebie srebrne nici łez.

— Czemu płaczesz Stachu? — zapytał żyd.

I Stach w krótkich słowach opowiedział Jankielowi historję swego życia.

„...matka moja została tylko. Żegnała mnie ukochanego a spazm bolesny, co mnie za gardło chwycił, słowa przemówić nie dał. I ja ją też żegnałem bliską, jedyną. Ojczyzna mnie wzywała, ta druga, dla której o matce na jakiś czas zapomnieć musiałem. Dzisiaj, jak innych wielu, jestem wśród życia i śmierci. Dla matki żyć tylko chcę. Staruszka już... staruszka, biedactwo. A ty Jankielu, masz matkę?"

Żyd opuścił na piersi ciężko głowę a z ust dobiegło Stacha słowo:

— Nikogo nie mam. Jestem sam jeden. Nie żyję dla nikogo.

Głośny huk upadającego pocisku zagłusza ich rozmowę. Odrzucony siłą wybuchu Jankiel, z trudem wygrzebuje się z pod ziemi. Czołga się na brzuchu w kąt okopu. Ubranie poszarpane i splamione krwią. Rękami maca ciało, sprawdza rany. Nic. Przypomina sobie Stacha. Woła go, wydobywając z całej piersi jego imię.

— Stachu! Stachu!

Nikt mu nie odpowiada. Gdzie Stach? co się z nim stało? Oczami rzuca na wszystkie strony. W oddali majaczy się potwornie zmasakrowane, żyjącego jeszcze przed chwilą ciało Stacha. Spojrzał żyd w niebo pobladły. Sto razy patrzył śmierci w oczy i nigdy się jej nie uląkł, aż dzisiaj.

Z twarzą bladą, pokrytą warstwą krwi i ziemi leży Stach. Gnany jak każdy z żołnierzy poczuciem obowiązku, poszedł, by o honor Polski walczyć. Walczyć nietylko słowem, lecz krwią swoją i dłońmi swojemi dźwignąć karabin — posłuszny, cichy i prawdziwy żołnierz-obrońca. I tu zdaleka od domu, na polach nieznanych i dalekich, na ziemi żyznej od krwi legł w służbie. Tu, w dzień Bożego Narodzenia przysypała go ziemia — tam matka ronić będzie łzy serdeczne, najszczersze.

— — — — — — — — — — — — — — —

Powoli wstawał dzień jasny, jak sen dziecka.

Pociski rzadziej padają. Zdaje się cichnąć kanonada.

Na zgliszcza okopów i powstałe świeżo groby spadły mgły. Pomimo strachu i lęku Jankiel czołga się wśród żywych i umarłych. Widać jego głuche i drżące wargi. Głowę wychylił poza okop i patrzy oczyma żądnemi zemsty, użycia odwetu za ból i znój... Widać. iż w głowie knuje jakiś plan. Czy chce coś przemówić? Nie! to tylko jego westchnienie. Jak straszny to jęk jego westchnienia. Oblicze ciemne i ponure. Spogląda w ciemność głuchemi oczyma, starając się przebić zasłonę ciemną. Próżno. Uśmiech tragiczny zabłysnął na jego wargach. Krzyk bólu targa płuca. Kule świszczą koło uszu. Nie zna trwogi. Staje w milczeniu nieugięty, patrząc spokojnie twarzą zimną jak głaz i nie zmruży powiek. Widać, że na rzeczy groźne i złe ma radę: mężną pogardę.

Wymknął się z okopu biegnąc wśród poświstu kul w stronę pozycji nieprzyjacielskiej. Pod pachą ściska kurczowo kilka paczek dynamitu oraz lont. W obliczu śmierci za cenę pomszczenia życia kolegów rzucił wszystko na szalę; przypływ męstwa, dumę, honor i życie.

— — — — — — — — — — — — — — —

W oddali zamajaczyła się sylwetka żołnierza. Biegnie, potyka się, znowu się podnosi. Biegnie niezmęczony w stronę okopów, oglądając się co chwilę za siebie. Wreszcie dopadł. Z chwilą wślizgnięcia się w okop, błysk jasny i piekielny huk wstrząsnął powietrzem. Artylerja nieprzyjacielska ucichła nazawsze. Została zniesiona z powierzchni ziemi. Straszliwe dzieło żyda zostało dokonane. Akt zemsty został uwieńczony pomyślnym wynikiem.

Jankiel dumny ze swego czynu, wysunął się na okop nie bacząc na strzały. Stoi dość długo. Szczęki uwydatniają swe kości. Twarz blada jak z marmuru. Z ust wybiegło słowo: Za Stacha!...stoczył się w przepaść ciemną. Plusk błota i woda się czerwieni. Rzucił się targany przedśmiertelnemi kurczami, rzucił się jeszcze raz i drugi, wyprężył się i legł cicho, spokojnie na wieki, zimny jak głaz. Leży skostniały, z wargą skrzywioną jakby się żalił, że zaprędko odszedł w zaświaty. Lecz głowa z otwartemi oczyma, które chociaż zaszły bielmem śmierci, świadczą, iż jest szczęśliwy, że dokonał czynu, pokazując wartość i siłę żołnierza polskiego.

Bez ofiar niema zwycięstwa. Śmierć zbiera plony bezcenne z żyć ludzkich, bo najczęściej pada to, co jest najpiękniejsze w życiu. I zasłali przestrzeń trupami, a po nich wczesnym rankiem przeszli pozostali i poszli w zwycięskim pochodzie z okrzykiem na ustach: zwycięstwo!!! — strojąc swe głowy w wawrzyny. Poszli, niosąc na ostrzach bagnetów „Honor Polski".

A poprzez pola, hen, z daleka płynęła jakaś pieśń, wtulała się w grudy ziemi, wśród tarnin i prując wśród drzew słała ostatnie pożegnanie prochom swych braci i kolegów, które lekki powiew wiatru z ust żołnierzy porywał i niósł hen ku płaczącym brzozom, ku samotnym mogiłom.

Władysław Mikosz.



Bożej Dziecinie.

Bądź pochwalona maleńka Dziecino,
co idziesz w pola i pod nasze strzechy
i łzy ocierasz, co w niedoli płyną,
i słońcem jaśniesz nadziei, pociechy!

I sycisz serca spragnione i głodne
i ciała karmisz zbóż ziarnem po śpichrzach,
chadzasz po niwach, plonami urodnych,
i mieszkasz z nami w trwóg chwile najcichsze.

Rozwijasz kwiaty po naszych ogródkach
i paść pomagasz ugornym pasterzom,
nad nami tęczy pas Twój palec utkał,
w sadach malujesz jabłka barwą świeżą.

Ty dajesz siłę pobladłym kosiarzom,
rozradowanie im zsyłasz pszeniczne;
ręczęta Twoje kłos ziarnami darzą
i chylą plonem źdźbła wiotkie i nikłe.

Na stół nędzarzom ślesz żyzny razowiec,
pragnącym Ciebie rzeźwisz duszę zaschłą;
Ty nad przepaścią strzeżesz nas jak owiec
i jak Drogowskaz świecisz nam swą łaską.

Przeto bądź chwała Ci, drobna Dziecino,
co idziesz polem białem pod chat strzechy
i w uśmiech zmieniasz łzy, co w smutku płyną,
i słońcem jaśniesz wiary i pociechy!

Franciszek Surówka.

U ŻŁÓBKA ZBAWICIELA.

O północy zajaśniała
Jasność w Betleemie,
Stoi w blasku szopka cała
Bo Bóg zszedł na ziemię.

Pastuszkowie przybieżeli,
Gdzie ta licha szopka,
Niemowlątko tam ujrzeli
I Marję u żłóbka.



Zaśpiewała ta czeladka
I klękła w pokorze,
Bo w stajence Bożej Matka
I dzieciątko Boże.

Pieści Marja Pacholątko
Rączki w dłoniach tuli
I usypia swe dzieciątko,
Luli, synku, luli...

Jan Smaza.

Jezus chodził po świecie.

Legenda wigilijna.

Szedł Pan Jezus ze św. Piotrem i Judaszem gdzieś od Ujazdu ku Piotrkowu.

Dawno to było, bardzo dawno, bo gdzie teraz sucho — wody były, a gdzie teraz pola — lasy były i takie pustki, co mila to wieś, a co druga — dwór pański stał.

Pan Jezus całkiem przemarzł, jako że obleczenie miał mizerne i mróz był siarczysty, bo to było w wigilję Bożego Narodzenia.

Jeść mu się chciało, a tu ani chałupy, ani karczmy, ani człowieka nigdzie nie było — bory i pustki.

Posiadywali sobie z utrudzenia co staje, ale zaraz szli, bo wilcy i drugi zwierz dziki chodził, stadami za nimi i wył, aż skóra cierpła.

Św. Piotr wyłamał sobie niezgorszy kija- ek, a Judasz wziął kamień w garść, ale Pan Jezus na to rzekł:

— Nie bójta się ludzie, Ja jestem z wami.

Św. Piotr i Judasz nie bali się, ale zawdy co zwierzak zły a z kijaszkiem albo z kamieniem w garści przezpieczniej i śmielej człowiekowi iść.

Pod wieczór doszli do jakiegoś dworu i myśleli, że tam się ogrzeją i pożywią, ale dwór miały Niemcy, z którego ich wygnały za wrota na bory na lasy.

Świętego Piotra taka złość ścisnęła, że chciał kijaszkiem choćby raz Niemca lunąć przez łeb, a Judasz gadał.

— Takim zły, Panie, takim zły, że choćby tą kokoszkę co siedzi na płocie wziąć to wezmę.

Pan Jezus mu na to:

— Ścierpcie. Ludzie są ciemne i dlatego głupie i złe. Tylko małpa małpie plecy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien stawać i pomagać. Jeszcze tak będzie na świecie.

Ruszył przodem i coś tak gadał po cichu do siebie, a oni za nim szli i szli — a mróz był coraz większy i jeść im się chciało coraz bardziej. Szli i szli... aż i napotkali karczmę.

— Wejdziem — rzekł Pan Jezus — poczciwi ludzie dyć są na świecie.

— Panie! — odpowie św. Piotr — ale ja już nie mam ani grosika.

Pan Jezus obszukał koło siebie i nic nie znalazł. Zafrasowało się serce Pańskie, ale mówi:

— Nie mam i ja. Może ty, Judaszu, co masz to pożycz nam.

— Mam złoty! — a miał dwa, ino żal mu było pożyczyć.

— Daj, kiedy nie masz, i ten złoty.

Pan Jezus przecież wiedział, że on cygani.

Judasz daje 28 groszy i powiada:

— Podziały mi się gdziesik dwa grosze — bo sobie myślał, że choćby dwa grosze mniej straci.

Pan Jezus pieniądze wziął i zaraz do karczmy weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! Witajcie ludzie, a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Ze świata, moja pani karczmarko, ze świata. Zziębliśmy, głodniśmy, może nas czem pokrzepi, bo ledwie dech się w nas tłucze z utrudzenia.

— Chleba nam pani dajcie — rzecze św. Piotr.

— Niema.

— No to choćby samego syra albo kiełbasy.

— Nie moi ludzie.

— Może pani mają choćby z miseczkę kapusty albo i kartofli?

— Niema nic, bo przed wami jakieś ludzie byli i zjedli wszystko.

— A gorzołkę macie?

— Gorzałka to jest, ale tylko prosta śmierdziucha, bo spyru i słodkiej brakło.

— Może się napijecie? — pyta Pan Jezus.

Judasz tylko splunął, a św. Piotr rzecze:

— I półkwaterek jaki by nie zawadził, bo mi aże w piersiach piszczy i na duszy juz mi całkiem ckliwo.

— Śledzie może są? — pyta Judasz, bo żółtek łasy był na rybki,

— Niema śledziów!

— Cóż ja wam biednym poradzę! — narzeka Pan Jezus.

— Żebyście zapłacili to znalazłaby się gąska może.

— Zapłacimy rzetelnie — powiada Pan Jezus. — Mościewy, a to dajcie tę gąskę zobaczymy i stargujemy.

Karczmarka przyniosła z komory gęś.

Najpierwszy obejrzał Judasz, jako że on był przedtem handlarzem i człowiek był znający, ale tylko gąskę zważył w ręku, dmuchnął jej w piórka pod brzuch i powiada:

— Chuda! całkiem chuda niby wiór, mnie jednemu starczyłaby, ale na trzech, to na jeden ząb.

Św. Piotr ino się drapał po głowię, bo jemu samemuby nie starczyło.

— Upieczcie ją pani — kazał Pan Jezus, a potem do nich mówi:

— Prawda Piotrze, że na nas trzech za mało?

— Zamało Panie, żeby tak do niej z grzeczną miseczkę albo i dwie kapusty, z bochenek chleba, toby na okrasę było dość, ale tak...

Pan Jezus pomyślał i rzekł:

— Zrobimy tak: teraz pójdziemy spać, to się głód trochę oszuka, a przez ten czas gąska się upiecze, a jak wstaniemy, to ją zje ten, któremu się będzie śniło jaknajlepiej.



Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie?

Pokładli się zaraz na przypiecku i posnęli.

W jakąś godzinę czy dwie Pan Jezus przecknął.

— Wstawajcie! A co ci się śniło Piotrze?

— Śniło mi się Panie, jakobym był twoim włodarzem, że i klucze miałem do twoich gumien i łaskę i chałupę swoją, Panie miałem i żem ci służył wiernie.

— Dobrze, dobrze, będziesz Piotrze kochany włodarzem moim — rzeknie Pan Jezus i ścisnął rączkami Piotrową głowę. — A mnie się śniło, że byłem już w niebie, bo na świecie nie było już ani złych ani ciemnych, ani biedaków, bo już wszystkie chłopy miały grunty i wszystkim ludziom do cna było dobrze.

— Twoja gęś Panie, bo ci się śniło lepiej — odpowie św. Piotr, chociaż go mroczyło z głodu markotnym nie był.

— A tobie Judaszu co się śniło? — zacznie Pan Jezus słodziutko, pozierając na żółtka, co zwlókł się dopiero z przypiecka a oczy tarł i poziewał.

— Mnie się śniło Panie, że wstałem we śpiku i gąskę zjadłem — odpowie cicho i wierci podłogę.

— Jużci niezgorzej ci się śniło, niezgorzej! Gospodyni dajcie nam tę gąskę.

Karczmarka przyszła i powiada, że ten żółtek gąskę zjadł, że nawet kosteczki dla psa nie zostało.

Pan Jezus spojrzał miękko na Judasza i rzekł:

— Śniło ci się, żeś zajdł gąskę, Judaszu? Całkiem dobrze ci się śniło.

— Śniło mi się Panie — a nie patrzy, tylko skubie tę swoją żółtą brodę.

— Śniło ci się to już sobie tu zostań Judaszu. Śniło ci się, to niechże ci się przyśni, żeś zjadał gąskę z kapustą w kompanji, a my pójdziem Piotrze,

poszukamy takich co nam jeść dadzą a nie ocyganią.

I poszli we dwóch.

I dlatego to teraz naród polski wigilje bardzo obserwuje, a żydy i różne heretyki — nie. Dlatego w ten wieczór wigilijny zaprasza na obiad biednych, darzy czem może, pamiętając na słowa Pana Jezusa: „Cościekolwiek jednemu z tych maluczkich uczynili, Mnieście uczynili“.

Józef Serafin.



MACIEK BZDURA GADA:

Wkiejsik posedem do jegomości spytać się ich, cy wnet będzie ten święty pośnik, na który cłek ceka i ceka juz od zesłej zimy, a którego jak nie widać, tak nie widać. Wprawdzie gospodyni padali, ze ino, ino go nie widać, ale przecie wiadomo, ze kuzdej gospodyni wierzyć nie mozna. Bo to przecie juz nieraz było, ze jak cłekowi najbardziej kiscyska w brzusysku załobnego marsia grały i dospominał sie o poratowanie go cy ciarapką zimnioćków, cy przylibką chleba, to gosposia padali: „Cekaj, Maciuś, cekaj, zaraz będzie wiecerza, to się opchas, ile w ciebie wlizie“. A jak słonecko zasło i ciemniara sie zrobiła na świecie, to i gosposia zmienili zdanie i powiadali: „Wicie go obzartusa; nawet po nocyby ćkał, a utemperowania ni ma, i nie wie, ze noc do spania, a nie do chlania“. Myślę se bez to, ze jak zawse, tak i teraz gospodyni ino na moją niewinność cyhają i starają sie mnie ośklić, ze pośnik ino, ino, a tu pośnik moze minąć i ja nawet o niem nie będe wiedział.

Bo to i z tem pośnikiem nie wszyćko w porządku. Wiadoma przecie rzec, ze niedziela jest zawse w niedzielę, poniedziałek w poniedziałek, a piątek w piątek, a zasie pośnik raz wtedy, drugi raz wtedy tak, ze ani cłek zgadnąć nie moze, cego sie trzymać. Posedem do jegomości i dokumentnie sie dowiedziałem, ze tego roku będzie pośnik w najblizsą środę i nie w zadne połednie, ani rano, ino wiecór, jak pirsa gwiazdka zejdzie na niebie. Juz mnie bez to zadna gospodyni nie oświabi, byle ino nie było chmurzysk na niebie i gwiazdka zesła.

Jagem wracał od jegomości, przechodziłem wele karcmy, w której Srul siedzi i wodę zaprawianą okowitą sprzedaje. Skoro mnie zuźrał, zaraz pyta sie grzecnie:

— Nu, ty panie Maciek, a po co ty u księdza buł?

— Po co? — ja mu na to — z wizytom!

— No nie pleć Maciek głupstwo, ale rzeknij scerom prawdę, po co ty tam chodził?

Miałem Srulowi roześmiać sie prosto w gębe, bo co jemu do tego, po co ja do jegomości chodził, ale ja to lubię i z najgłupsem grzecnie postępować, więc mu padam:

— Mas wiedzieć, zydowskie dziecko, ze do katolickiego jegomości to sie ino w trzech jenteresach chodzi: po chrzest, po ślub i po umarcie. Mas ślipie, to przecie widzis, zem sie juz dawno urodził, więc nie chodziłem dopiro dziś po krzciny. Po umarcie takze nie chodziłem, bo nie ino nogami i ręcami, ale i jęzorem dobrze jesce władam, co sam mozes dokumentnie na sobie doświadcyć. Zostaje więc ino trzecia rzec, to jest ślub, i gdybyś miał ino odrobinę olejku rycynowego w głowie, tobyś to był sam odgadł. Byłem więc u jegomości, aby mi poradzili, jakiej mi baby potrza. Bo ze mi potrza, to ja to juz sam wiem, ale jakiej, to mi trudno wymyślić.

— Aj waj! Idź ty głupi, panie Maciek — gada Srul — skąd to ksiądz moze wiedzieć, jakie babe najlepse? Jak chces, to ja ci mogę poradzić, bo ja sie znam doskonale na babskiem jenteresie.

Wiem, ze zyd mi ino latego chciał radzić, abym ja se wziął taką babę, coby nie mnie, ale karcmarzowi najlepiej pasowała, ale z ciekawości, co on tez powie, słuchałem, udając, ze mi sie jego rada podoba.

A zyd tak dalej prawi:

— Baba to taka najlepsa, jak ślepa kobyła: kazes jej orać, to będzie orać, kazes jej stać, to będzie stać, das jej zamiast owsa plewy, to ona będzie i tak myśleć, ze to owies. Baba to najlepsa, coby sie i napić lubiała, bo choć sie ty, panie Maciek, w karcmie co wiecór zawierusys, to jak jej ino przyniesies wódki, to i tobie da spokój. A baba, co wódkę lubi, to wie, gdzie pańska kapusta i plebańskie zimnioki.

— Ehe! — myślę se — ty, niećciwiaro, namawiając mnie na taką babę, wis, zebyś ty sam z niej miał najwięksy prefikt, a ja ino hańbę i obrazę boską. Wiadomo przecie, ze jak sie chłop uchla, to sie nie różni nicem od prosięcia, ale jak baba jest pijanica, to trzydzieści styry razy i pół jest od chłopa gorsiejsa. A cózby to dopiero było, jakbym ja Maciek, sławny nie ino w Psiej Wólce, ale na świat cały, miał babę pijanicę?

Tagem se to wszyćko myślał i kalkulował, alem nie rzekł nic, bom był ciekawy, co tez jesce Srul powie. Ale gdy on nic nie gadał więcej, tak ja pytam wtedy:

— Srulu, a twoja baba pije?

— Ny, ona pije z wodą, z mlekiem, z maszlonkiem...

— No, a wódki nie pija? — pytam dalej.

— A czy ona to głupia, zeby, tfy! takie paskudztwo do gęby brała! — powiada Srul.

— No, to wis, to i ja takiej głupiej nie chcę i jagem Maciek Bzdura, pijanicy za zonę nie wezmę, coby jej z gęby ciegiem śmierdziało i cobym nie wiedział, gdzie bić, a gdzie całować.

Chłopska dola.



Widziałem kiedyś zgarbionego chłopa,
co szedł za pługiem szlakiem skib jałowych,
a w grząskiej ziemi tonęła mu stopa
i znój kroplisty spływał w zagon płowy...
Widziałem kiedyś... szedł chłop skróś zagonów
i krzepko rzucał ciężkie, rodne ziarno...
A potem ukląkł, oczy wzniósł do Tronu
i rzekł: błogosław, Panie ziemię czarną.
Widziałem zasię: przeszły ponad pola
chmury brzemienne gradu huraganem...
— — — — — — — — — — — —
I wyszedł chłopek... i nad swoim łanem
gorzko zapłakał... Oto chłopska Dola...!

W. B. Breowicz.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zambeza III.



Dziki sposób pozbywania się chorych.

A teraz przypatrzmy się bliżej tym biednym ludziom. Murzyni są ciemno-brunatnego koloru. Niema zaś zupełnie czarnych ludzi. Kobiety są często jaśniejsze. Dzieci jaśniejsze od rodziców, ale im starsze, tem cera ich coraz bardziej czernieje. Włos na głowie zbity, wełnisty, a skąpy bardzo na reszcie ciała. Budowa ich ciała smukła, głowa mniejsza niż u Europejczyka, w piersi i w kościach miednicowych szczuplejsi od Europejczyków.

Kształty ciała murzyna przedstawiają się wcale korzystnie, a nawet uważają je za piękniejsze od Europejczyka, zato kobieta uciśniona, nie szanowana pod względem płciowym, gorzej się przedstawia od mężczyzny i prędko się starzeje.

Od niewoli Europejczyków uciekają wogóle, jak mogą, pracują u nich w dzień, na noc odchodzą do swych siedzib, a skoro tyle zarobią, że mogą kupić sobie bydło i żonę, już niechętnie idą do roboty. Oczywiście mowa tu o tych murzynach, którzy żyją w pobliżu osad europejskich i już nieco się ucywilizowali.

Wrodzona gwałtowność objawia się u murzyna tak przy pracy, jak i przy zabawie. W zabawie murzyn namiętny, rozpustny, posuwa się do nadużyć, przewyższających przeciętnie rozwiezłego Europejczyka. Murzynowi wrodzona jest naiwność. Kłamie, jak dziecko, szczyci się kłamstwem, a gdy mu się kłamstwo uda, doznaje za to poważania u swoich. Pojmuje sprytnie i zdolny jest do naśladowania, ale do samodzielnej pracy naukowej nie okazuje zdolności.



Las mangowy.

Jakkolwiek murzyn drogą kupna nabywa żonę, to przecież związki rodzinne są ścisłe, miłość rodzicielska żywa, poszanowanie dla starszych wielkie. Ojciec zwie się po murzyńsku tate, matka mama, gdy się mówi o swoim ojcu i swej matce, zaś na oznaczenie twój ojciec, twoja matka, mówi się iho, onyoko, na wyrażenie jego ojciec, jego matka; ihe, ina. Często młodzieńców dorastających, jakoteż dziewczęta wychowują w zupełnem odosobnieniu.

Religja ludów murzyńskich jest pogańska. W licznych podaniach uwydatnia się pojęcie o pierwotnej szczęśliwości ludzi. Mogli oni dostać się do nieba po linie, która z niego do ziemi wisiała, a którą przerwał ptak koloru niebieskiego.

Niektóre ludy wierzą, że ludzie powstali z drzew i czczą te drzewa i uważają je za mieszkania duchów. Czczą też niektóre zwierzęta i zakazują je spożywać. Gdzieniegdzie uważają węże za mieszkanie dusz, które z ludzkich ciał wyszły. Wierzą, że dusze ludzkie przebywają czas jakiś przy zwłokach zmarłego i udają się do grobu, gdzie również chętnie przebywają. Dlatego na grobach składają ofiary z różnych przedmiotów a nawet z ludzi.

U murzynów obyczaj każe zabijać dzieci, które nóżkami na świat przychodzą, lub te, które najpierw dostają zęby górne. Kobieta w połogu dostaje przez trzy dni do picia własną urynę. Do pięciu dni nie wolno się mężowi pokazać żonie. W piątym dniu mąż i żona muszą się oczyścić przez siedzenie na drzewie amuletowem i przez nacieranie tłuszczem w tym celu zrobionym.

Małżeństwo bywa zawierane drogą kupna. Starający się o żonę płaci za nią ojcu odpowiednią ilość bydła. Dlatego rodzice chętniej widzą córki niż chłopców. Wielożeństwo jest powszechne. Im kto ma więcej żon, tem doznaje większego poważania, jako zamożniejszy człowiek. Na

czystość obyczajów dziewczęcia niewiele się uważa. Dziewczę w piątym roku życia już może wyjść zamąż. Rozwód może też łatwo nastąpić.

Żona w domu męża jest zwyczajną robotnicą. Do niej należy uprawa roli, budowa chaty i przyrządzanie pożywienia.

Ubiór murzynów stosuje się do klimatu; chodzą więc albo zupełnie nago, albo tylko w części ubrani.

Największą może klęską dla murzynów jest straszna choroba trądu, na którą dotychczas nikt jeszcze nie wynalazł lekarstwa. Człowiek, chory na trąd, gnije poprostu, a tem gorzej, że nadzwyczaj powoli. Ciało odpada z niego kawałkami, a białe kości wystają ze strasznych ran. Cierpi strasznie i długo, dopóki go litościwa śmierć nie uwolni z tych cierpień. Los murzynów, chorych na trąd był straszny. Oto widzimy na naszym obrazku chorego murzyna, jak go drugi na łańcuchu ciągnie w niedostępne okolice, aby go tam porzucić na pastwę własnemu losowi. Dziś tymi nieszczęśliwymi zajęli się już misjonarze i zakonnice, pobudowali szpitale, w których starają się ulżyć strasznej ich doli. Nierzadko zdarza się, że ten i ów zakonnik lub zakonnica sam zaraża się trądem i ginie razem z tymi, którym niósł ulgę. Ale nie zraża to innych, którzy w myśl przykazania o miłości bliźniego zajmują ich miejsca i pełnią dalej misję samarytańską.

Na zakończenie naszego opisu o Żambezi i o jego mieszkańcach podajemy jeszcze obrazek, przedstawiający jedną jeszcze osobliwość tego kraju: jest to las drzew mangowych. Korzenie drzew tych, jak to widzimy na naszym obrazku, wznoszą się znacznie ponad powierzchnię wody, co sprawia widok szczególny. Zdaje się na pozór, jakby te wysokie krzewy nie wyrastały z ziemi, ale tylko zlekka dotykały się wodnej płaszczyzny i niejako ulatywały nad nią. Oczywiście widok to bardzo piękny i nigdy niezapomniany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. M. R.

Jaś i Staś.

Kiedy Archanioł Życia niósł na świat Jasia i Stasia spotkała go niemiła przygoda: oto potknął się tak nieszczęśliwie na progu domu, do którego niósł bliźnięta, że mały Jaś upadł na ziemię, przyczem wyślizgnęła się dusza z ciała niemowlęcia i odleciała do nieba.

Jednak pokazało się wkrótce, że takiego urwisza, jak ten nowy aniołek, nigdy jeszcze w niebie nie widziano. Całemi dniami podbijał piłkę nożną i to tak energicznie, że gwiazdy aż drżały ze strachu, a kiedy po raz pierwszy zobaczył księżyc w pełni, wykrzyknął radośnie: „Ach jaka ogromna piłka!“ i podbił go z taką siłą, że księżyc roztulał się po obłokach i omal nie upadł na ziemię.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Wszyscy w niebie zajęci byli przygotowaniami choinek dla grzecznych dzieci. Starsze aniołki robiły prześliczne ozdoby na drzewka, a młodsi przygotowywali świeczki. Robili zagłębienie w obłokach i wlewali w nie wosk, a święty Piotr uchylał niebiańską bramę i wpuszczał prąd zimnego powietrza, pod którem wosk tężał.

Stosy świeczek gromadziły się wciąż większe i większe...

Wszyscy pracowali ochoczo.

Jedynie mały Jaś coraz pomalej poruszał rękami; raz po raz spoglądał na porzuconą piłkę i wzdychał cicho... żałośnie...

Najświętsza Matka pochyliła się nad Jasiem.

— Dlaczego nie pracujesz? Żaden aniołek nie powinien próżnować — mówiła łagodnym głosem i pogłaskała Jasia po włosach.

Jaś spojrzał nieśmiało na Najświętszą Matkę.

— Czy nie mógłbym polecieć na ziemię i pilnować dzieci? Mamusie nie mają teraz czasu zajmować się niemi...

Najświętsza Matka uśmiechnęła się zlekka.

— Niechże i tak będzie. Możesz zaraz odejść.

Jaś ochoczo pobiegł do św. Piotra.

— Święty Piotrze! — wołał z daleka — proszę mnie wypuścić przez bramę niebios. Idę pilnować dzieci na ziemię.

— Kto? Ty?! — zawołał św. Piotr i przeżegnał się trzykrotnie. — No, z ciebie będzie wyborny stróż, ha, ha! Uważaj tylko, abyś tam czegoś nie oberwał na ziemi.

— O, święty Piotrze, zapominasz, że jestem aniołkiem! Zobaczysz jak mnie tam będą kochali!

Święty Piotr uśmiechnął się i wypuścił Jasia.

— Przynajmniej na chwilę odetchniemy w niebie — pomyślał z zadowoleniem i czemprędzej zamknął znów bramę.

Ze świata ciągnął wiatr okrutnie zimny — widać, że panowały tam siarczyste mrozy — a święty Piotr nie lubił przeciągów i zimna.

Jaś zatrzymał się pod bramą. Może zawołają go, aby wrócił do nieba? Nadsłuchiwał chwilę. Ale nie... cisza... Nikt go nie wołał, nikt nie zatrzymywał.

— Hm, jakoś im na mnie niebardzo zależy — pomyślał. — Ale niech tam! I tak wiem, że będzie im smutno bezemnie, jeśli na noc nie wrócę do nieba. Wszyscy mnie będą szukali i po całem niebie będzie się rozlegało nawoływanie: Jasiu, Jasieczku!

Tak rozmyślając, dreptał po obłokach, ślizgał się po promieniach słońca, aż wreszcie znalazł się na ziemi.

— Gdzie teraz? — zafrasował się aniołek Jaś. — Jakoś się tu nie wyznam, a nawet nie wiem, które dziecko miałbym pilnować?

Przez dłuższą chwilę wałęsał się po polach aż doszedł do lasu. Bił się tam z wronami, które chciały usiąść na tejsamej co i on gałęzi, strząsał z drzewa śnieg na ludzi idących około, susłowi włożył do jamy kilka gałązek dzikiej róży, wreszcie zmęczony przysiadł na zmarzniętej miedzy.

— Zimno mi — westchnął głośno i dotknął rączkami bosych nóżek — strasznie mi zimno. Nie mogę tu zostać, bo przymarzłbym do ziemi.

Wstał i szedł dalej.

Las tonął już w ciemnościach nocy, kiedy Jaś spostrzegł jakieś światełko. Było to światło w oknach willi, która wznosiła się na lesistem wzgórzu. Poznał ją odrazu. Do tej bowiem willi niósł go Archanioł Życia przed kilkoma laty. Tam jest Staś, ma-

musia i tatuś. Jaś przyspieszył kroku. Przez chwilę przypatrywał się misternym kwiatom, któremi mróz ozdobił okna willi i nawet postanawiał w duchu,



że i on nauczy się tak pięknie malować. Wreszcie zapukał w okno.

— Puść mnie, mamusiu — prosił nieśmiało.

Miał szczęście. Mamusia jeszcze nie spała; siesenkę. Kiedy do jej uszu dobiegło pukanie w okno, otworzyła je, a Jaś wślizgnął się przez nie i stanął w pokoju. Mamusia nie widziała go, ponieważ był duchem, ale przecież czuła, że ktoś stoi w pokoju.

Tatuś wstał i razem z mamusią zaczęli przeszukiwać pokój.

Zaglądali do wszystkich kątów i pod stołem szukali, co tak rozbawiło Jasia, że roześmiał się głośno.

— Słyszałeś? Ktoś się tu śmieje — zawołała mamusia i tem energiczniej zaczęła poszukiwanie; podnosiła portjery i firanki, a nawet pod łóżka zaglądała, a Jaś śmiał się tak, że go aż w bokach kłuło, wreszcie wskoczył do łóżeczka Stasia i przytulił się do niego.

Staś spał smacznie.

Był to śliczny chłopczyk i niezwykle grzeczny. Nigdy nie gniewał rodziców i nigdy ich nie zasmucał.

Jaś skurczył się pod pierzynką i z figlów uszczypnął Stasia. Biedny Staś zerwał się ze snu i zapłakał głośno.

— Co ci to synku? — zapytała mamusia.

— Ktoś mnie uszczypnął.

— Ależ, Stasiu, przywidziało ci się. Nikogo tu niema.

— Śniło mi się, mamusiu, że mój braciszek przyszedł tu i położył się przy mnie.

— Co za fantazja! Przecież twój braciszek w niebie. Zamknij oczka i śpij, synku.

— Hi-hi-hi — chichotał cichutko Jaś, skulony pod pierzynką — mamusia myśli, że ja w niebie!

Ciepło rozgrzewało go coraz bardziej. Przytulił się do Stasia i zasnął.

* * *

Na drugi dzień rano, zaledwie pierwszy promień słońca wślizgnął się do pokoju Stasia, ocknął się aniołek Jaś i zdumiony przecierał oczy piąstkami. Nie słyszał tu gniewnego głosu św. Piotra jak się oburza na grzeszne dusze, które zuchwale dobijają się do bram nieba, nie widział Najświętszej Matki jak uspokaja Go, mówiąc:

— Piotrze, Piotrze, nie gniewaj się. Pamiętaj, że gniew jest ojcem wszystkich grzechów!

Usiadł na łóżeczku i pocałował Stasia.

— Stasiu, braciszku, zbudź się! Ja już nie śpię. Ale braciszek spał dalej, więc go Jaś połaskotał. Staś otworzył oczy.

— No, no — zawołał aniołek Jaś — nareszcie zbudziłeś się! Wstawajże już śpioszku. Przyszedłem tu z nieba pilnować ciebie, więc wstań i ubieraj się, abym miał co do roboty. Będziemy się razem bawili.

Staś zlazł z łóżeczka i ubierał się grzecznie. Był już gotów, gdy do pokoju weszła mamusia.

— Dzień dobry, mamusiu — zawołał Staś i ucałował matkę.

Aniołek Jaś schował się pod stół i śledził każdy ruch mamusi. I on miał ochotę ucałować ją i przytulić się, ale nie śmiał. Kiedy mamusia stawiała śniadanie na stole, pociągnął ją z figlów za suknię.

— Zahaczyłam się? — zdziwiła się mamusia.

Przeglądnęła potem dokładnie wszystkie nogi stołu, ale żadnego gwoździa w nich nie znalazła.

Gdy Staś zjadł śniadanie, a mamusia odeszła z pokoju, szepnął mu Jaś do uszka:

— Chodź, będziemy się bawili.

Usiedli na podłodze i zaczęli się bawić wielkim pajacem.

— Co też ten pajac ma w brzuchu? — zapytał Jaś Stasia.

— Nie wiem.

— Zaraz przekonamy się — zawołał Jaś i rozciął kozikiem brzuch pajaca. Wysypały się z niego trociny.

— Aha, już to wiemy — zawołał Jaś z zadowoleniem — trociny ma w brzuszku.

— Będzie się gniewała mamusia — zauważył Staś z niepokojem i prędko pozbierał trociny.

— To mamusia się gniewa? — zdziwił się Jaś. — Matka Boska nie gniewa się nigdy, jedynie paluszkiem nam grozi, jeśli zanadto swawolimy.

— Ja ciebie nie widzę, Jasiu. Dlaczego nie widzę ciebie?

— Bo jestem aniołkiem, a ty jesteś zwyczajnym chłopczykiem.

— Dlaczegoż ty jesteś aniołkiem, a ja zwyczajnym chłopczykiem?

— Bo ja mam skrzydełka, a ty ich niemasz.

— Ach, Jasiu, i jabym chciał mieć skrzydełka i chciałbym zaglądnąć do nieba.

— Naprawdę chciałbyś? Więc dobrze. Pójdziemy do lasu i ja ci moich pożyczę.

Uszczęśliwiony Staś wziął płaszczyk, podbity futerkiem i pobiegli do lasu. Po drodze bawili się wesoło. W lesie zatrzymał się Staś:

— Jasiu, pożycz mi skrzydełek — prosił.

— Pożyczę ci, ale musisz zdjąć płaszczyk, abym je mógł przypiąć.

Staś zdjął płaszczyk, a Jaś przypiął mu skrzydełka.

I leciał Staś coraz wyżej i wyżej, aż przyleciał do bram nieba.

Staś i Jaś byli do siebie tak podobni, jak dwie krople wody, nic więc dziwnego, że św. Piotr wziął Stasia za Jasia i powitał go niezbyt czule:

— Poczekaj, próżniaku! Ja ci dam drugi raz przed świętami wyłgiwać się z nieba! Cały wieczór szukaliśmy ciebie, wszystkie obłoki przetrząsnęliśmy aż do bram czyśćca, gdzie też najodpowiedniejsze miejsce byłoby dla ciebie, a ty wałęsałeś się po świecie!

Przy tych słowach podniósł w górę pęk kluczy, jakgdyby chciał niemi uderzyć Stasia.

— Ja nie jestem Jaś, ja jestem Staś — zawołał Staś z trwogą w głosie.

— Nie wykręcaj się kłamstwem, bo to ciężki grzech! Poznałem cię odrazu.

„Niebardzo zachęcające powitanie!" — pomyślał Staś i pospieszył przed tron Najświętszej Panny. Uklęknął na oba kolana, pobożnie złożył ręce i przemówił w te słowa:

— Najświętsza Matko! Ja nie jestem Jaś, ja jestem Staś. Przyleciałem tu, aby zobaczyć jak w niebie wygląda. Proszę Cię, Najświętsza Matko, nie gniewaj się za to na mnie — i przy tych słowach pochylił główkę i ucałował rąbek szaty Najświętszej Panny.

— Opowiedz mi, jakeś się tu dostał — przemówiła łagodzącym głosem Matka Boża.

Staś podniósł główkę i zaczął opowiadać, a Dzieciątko Jezus przysłuchiwało się uważnie i głaskało Stasia.

— Zostań tu z nami — rzekło Dzieciątko — będziemy się razem bawili i będziesz mi opowiadał o pajacu, który miał trociny w brzuszku.

— Zostałbym chętnie, ale boję się, aby mamusia nie płakała.

— Nie bój się, nie będzie płakała. Zostawimy jej Jasia, a twoja mamusia nie pozna, że to nie ty jesteś.

Więc dobrze, zostanę, ale muszę się przekonać, czy moja mamusia nie płacze.

— Dzisiaj moje urodziny — szczebiotało Dzieciątko — dzisiaj poleci na ziemię dużo aniołków z choinkami dla dzieci. Możesz i ty lecieć z niemi. Zaniesiesz Jasiowi ładną choinkę.

* * *

Mały Jaś czekał wciąż w lesie na powrót braciszka. Przestępował już z nogi na nogę, bo czuł jak mu paluszki u nóg marzną.

— Szkoda, że nie wziąłem pantofelków Stasia, napewne odmrożę sobie nogi — westchnął żałośnie.

Otulił się futerkiem Stasia i popłakiwał zcicha.

— Jaki ze mnie zły chłopiec! Poco wyciągnąłem Stasia do lasu? Mamusia się będzie gniewała...

Tymczasem mamusia piekła strucle i przygotowywała wigilijną wieczerzę. Tak była zajęta, że nawet nie zauważyła nieobecności Stasia. Dopiero w południe zaglądnęła do jego pokoju. Zatrzymała się na progu i zdziwionym wzrokiem wodziła dokoła. Pokój pusty... drzwi na pole otwarte...

Wybiegła z domu.

— Stasiu, Staszku! — wołała coraz głośniej.

— Stasiu! Staszku! — odpowiedziało jej echo i znów cisza grobowa...

Pobiegła ścieżką do lasu. W lesie spostrzegła ślady dziecięcych nóg.

— Boże! Mój Boże! — ślady bosych nóżek — jęknęła głucho.

Jaś, nie mając skrzydełek, przestał być niewidzialnym, więc i jego nogi zostawiały wyraźne ślady na śniegu. Za tym śladem szła mamusia i znalazła Jasia. Siedział skulony pod krzakiem jałowca i popłakiwał zcicha.

Mamusia nie poznała Jasia, porwała go na ręce i tak serdecznie przytuliła do serca, że aż dusza małego chłopczyka zadrżała radośnie.

— Lepiej tu, niż w niebie! Tam mnie nikt nie tuli tak mocno. Niechże sobie Staś zostanie w niebie, ja już tam nie wrócę, wolę być zwyczajnym chłopczykiem na ziemi.



Tymczasem aniołowie przystrajali już drzewko dla Jasia. Staś znosił najpiękniejsze cacka i sto świeczek przygotował na nie. Nie zapomniał też o olbrzymiej piłce nożnej i o ślicznych nartach dla Jasia. Potem naładował wszystko na sanki i ostrożnie zjeżdżał po obłokach coraz niżej... niżej... Nie zauważył nawet, że św. Piotr zawiesił na drzewku porządną rózgę dla Jasia.

Kiedy Staś wracał do nieba, gęsty zmrok otulał już ziemię.

W tymsamym czasie Jaś, w nowem marynarskiem ubraniu, stał przed rzęsiście oświetloną choinką i z zachwytem przypatrywał się drzewku i ślicznym podarunkom. Największą uciechę miał z piłki nożnej. Zaraz na drugi dzień rozbił nią okno i lampę. Przydała się rózga, którą św. Piotr powiesił na drzewku...

* * *

Jeśli przed willą w lesie spotkacie kiedy umorusanego chłopca grającego w piłkę nożną z takiem mistrzostwem, że wrzuca ją wprost w oblicze przeciwnika, to zawołajcie na niego „Stasiu". Napewno oględnie się, a może i język wystawi na was. Często też bierze w skórę od tatusia. Mamusia nie może pojąć, jak się to stało, że taki grzeczny Staś stał się nagle despetnym, swawolnym chłopakiem, ale mimo wszystko kocha go wciąż jednako, całem sercem.

Jaś za żadne skarby nie chciałby odejść od mamusi. Nie chciałby już wrócić do nieba, aniby wam nie uwierzył, że był kiedyś aniołkiem i że się nazywał Jaś. Stał się z niego chłopczyk Staś i podoba mu się na ziemi.

W niebie zadowoleni są wszyscy z zamiany Jasia na Stasia, a już najbardziej św. Piotr. Nie może się dość nachwalić tego nowego aniołka, jaki wzorowy, cichutki, jak nigdy nie swawoli i figlów nie płata.

Aniołek Staś całe dnie spędza z Dzieciątkiem i opowiada Mu prześliczne bajeczki. Nie zapomina też o swoim braciszku Jasiu. Modli się codziennie, aby temu małemu urwiszowi na ziemi nie stało się nic złego. Na prośbę Stasia wysyła codziennie Dzieciątko Jezus nie jednego, ale cały tuzin aniołów-stróżów dla Jasia. Ci aniołowie wracają do nieba zawsze niezmiernie zmęczeni i mówią, że takiego urwisza jak ten Jaś nigdy jeszcze pod swą opieką nie mieli.

Przetłumaczyła:

Julja Dutkowska-Fischerowa.

Dzień św. Szczepana w tradycji ludowej.

„Na św. Szczepan, każdy sobie pan“ — powiada stare polskie przysłowie ludowe. Słyszymy je czasem, lecz mało kto wie, jak ono powstało.

Jest to przedewszystkiem przysłowie ludzi, będących w służbie. Józef Gluziński, badacz zwyczajów ludowych, drukuje w „Archiwum domowem“, wydawanem w Warszawie w r. 1856 szczegóły zwyczajów w dniu św. Szczepana w lubelskiem obchodzonych.

Dnia tego wszyscy parobcy u gospodarza, t. zw. czeladź opuszczali chaty swoich chlebodawców, szli do karczmy i tam przy gorzałce chwalili lub obmawiali swoich gospodarzy, którzy znów ze swej strony starali się zjednać sobie poczęstunkiem najlepszych pracowników na rok nadchodzący.

W niektórych wsiach gospodyni w dzień św. Szczepana gotowała na wieczerzę doskonały barszcz z mięsiwem, nalewała na miskę i stawiała na stół. Gospodarz pierwszy brał łyżkę i wzywał czeladkę do jadła mówiąc „spożywajmy co Bóg dał“.

Wtedy kto z czeladzi przysiadł do miski, ten dawał dowód, że zamierza pozostać w służbie na rok przyszły, kto zaś nie jadł i wychodził z chaty, tem samem oznajmiał, że nadal służyć nie będzie. Nikt mu nie czynił wymówki, zerwanie stosunków odbywało się niejako „na migi“. Sąsiedzi pytali, kto barszczu nie jadł i takiego namawiali do siebie na służbę.

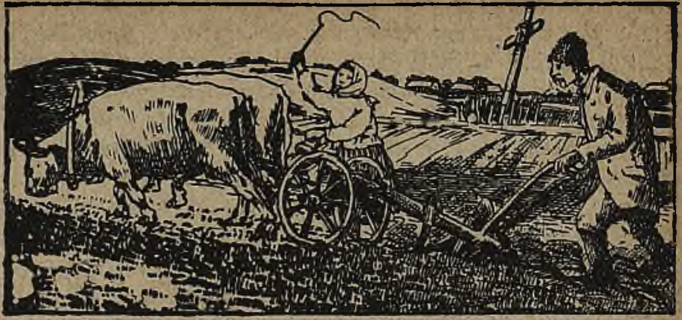
Od dnia świątecznego i nazwa zadatku, dawanego służbie przed nowym rokiem nosi do dziś określenie „kolędy“. Zadatek taki bywał dawany czeladzi właśnie w dzień św. Szczepana i był uważany jako zawarcie umowy. Służący nie ważył się przyjąć innego miejsca, dopóki nie zwrócił otrzymanej „kolędy“, która bywała zwykle wliczana do całości zapłaty rocznej.

Przed laty jeszcze kilkunastu istniał zwyczaj, że służba dworska w dzień św. Szczepana rano przychodziła przed pałac dziedzica, przyprowadzając inwentarz będący pod jej opieką. Zjawiał się więc pastuch z krową, mającą pięknie przybrane wstążkami rogi, owczarz z pięknie ustrojonym baranem, fornale wplatali koniom barwne wstążki w grzywy, nawet dziewka od trzody przyprowadzała wieprzka, kucharka kurę, przyczem towarzyszyła temu zwyczajowi ogólna wesołość a potem poczęstunek lub hojny napiwek.

W drugie święto Bożego Narodzenia zaczyna się też śpiewanie kolend po domach t. zn. „chodzenie z kolendą“. Dziewczęta i chłopcy rozbiegają się po wsi i kolendują pod oknami, będąc potem gościnnie częstowani przez gospodynię.

W niektórych stronach chłopcy chodząc po domach odgrywają scenę z szopki, jak Herod zostaje ścięty przez śmierć i zabrany przez djabła do piekła. Jest to coś w rodzaju teatru wędrownego. Niektórzy twierdzą, że zwyczaj ten nie ma nic polskiego w sobie.

O ile pierwsze święto jest dniem skupienia, o tyle dzień św. Szczepana jest dniem rozrywki i wesołości.



Poradnik gospodarczy.

Miód i jego znaczenie.

Starodawnym zwyczajem opłatki, którymi się łamiemy w Wigilję Bożego Narodzenia, powlekamy cienką warstwą miodu. Ma nam to przypominać, że Ojczyzna nasza jest tym krajem, gdzie od lat najdawniejszych zbierano z pól złotą pszeniczkę a w komorach naszych woniał złotopłynny miód, który nam przez rok cały z miljonów kwiatów znosiły ukochane pszczółki.

Taki jest starodawny zwyczaj, ale nie wszędzie praktykowany, bo też nie w każdym domu można znaleźć tę słodycz, którą lubią nietylko dzieci, ale i starsi. Niejeden wprawdzie nasmarowałby swoje opłatki złotopłynnym miodem, ale nie posiada go w domu, na kupno żal mu pieniędzy, a prosić sąsiada nie śmie.

Jest tu najlepsza rada: postarać się o miód własny z własnej pasieki. A o założenie pasieki nie tak trudno: nawet najbiedniejszy może się zdobyć na zakupno choćby jednego pnia, a z jednego pnia w ciągu lat kilku można mieć ładną pasiekę. Wprawdzie niejeden zdobyłby się na ten wydatek, bo wie, że wyłożony grosz w ciągu jednego roku zwróci mu się z procentem, i hodowałby pszczoły, gdyby te nie kłuły. To prawda, że ukłucie boli, ale tylko początkowo, dopóki się człowiek do jadu pszczelego nie przyzwyczai, później już nie działa tak jadliwie, a działa na organizm ludzki leczniczo, zapobiega reumatyzmom, a nawet je leczy. Zresztą to niewielkie cierpienie można sobie potem osłodzić miodem. Wszak język kobiecy kłuje, a żenimy się, wiedząc, że jeden całus kobiety ból zadany językiem osłodzi.

Korzyści z miodu mamy rozliczne. Najważniejszą z nich jest używanie miodu do omasty chleba. Jeszcze wielu ludzi u nas w czasie Adwentu lub Wielkiego Postu wstrzymuje się przez trzy lub dwa dni w tygodniu od nabiału. Jakżeż łatwo i przyjemnie zastąpić go wówczas miodem. Smakuje on nadzwyczajnie i przynosi duże korzyści. Trzeba bowiem wiedzieć, że miód jest znakomitem lekarstwem na wszystkie choroby. Zbierają go pszczółki z najróżnorodniejszych kwiatów, które zawierają w swym soku najcenniejsze lekarstwa. Kto posiada miód, ma lekarstwa wszystkie u siebie; nie potrzebuje biegać po aptekach i przepłacać rozmaitych sztucznych preparatów. A wiadomo i to, że niektóre lekarstwa, lecząc pewne choroby, posiadają w sobie składniki szkodliwe dla zdrowia ludzkiego. Miód natomiast posiada wszystko to, co zdrowie człowiekowi przynieść może, nie zawierając natomiast żadnych szkodliwych substancyj.

Niema chyba nikogo takiego wśród naszych Czytelników, któryby nie jadł i nie lubiał pierniczków. Gdyby on wiedział niejednokrotnie, co te kupne pier-

niki zawierają w sobie, to odrzuciłby je precz od siebie. W tych najrozmaitszych kupnych piernikach i miodownikach, robionych niby to na miodzie, niema ani kruszynki miodu. Są tam najrozmaitsze składniki, ale o miodzie ani mowy, gdyż ten dla fabrykantów tych rzeczy jest zadrogi. Natomiast jakże smaczne pierniki i miodowniki można robić z własnego miodu. Sztuka to niewielka, a wydatek znikomy tak, że w każdym domu dla dzieci i dla siebie można sobie sporządzić doskonały miodownik. Będzie on smaczny i zdrowy. W jednym z najbliższych numerów „Roli" podamy sposób sporządzania pierników i miodowników.

Praojcowie nasi nie znali piwa, nie znali wódki, nie używali wina. Gdy się zeszli na pogadankę, czy wesele lub chrzciny, albo wreszcie jaką inną uroczystość, pociągali ze dzbanów miód i nim się delektowali. O jakże życzyćby sobie należało, aby pod tym względem powróciły dawne czasy. Nie trulibyśmy sobie naszych organizmów przebrzydłym alkoholem, ale dla rozweselenia podpilibyśmy sobie w miarę miodu, który przecie smaczniejszy jest od wszystkich innych napojów, a nietylko szkody człowiekowi nie przynosi, ale użyty w miarę nawet wzmacnia jego organizm. Sposób sporządzania miodów pitnych nietrudny i również podamy go na tem miejscu w „Roli", ale przedewszystkiem trzeba ten miód mieć. A mieć go może każdy, kto tylko zechce, gdyż w Polsce mamy tyle jeszcze drzew i kwiatów miododajnych, że nam ich wystarczy dla wszystkich.

Powiada niejeden: „Założyłbym sobie pasiekę, ale mnie na to nie stać!" Nieprawda! Stać cię, przyjacielu, tylko nie chcesz mieć pszczół! Ul każdy z nas zrobić sobie potrafi. Będzie miał mniej lub więcej ładny wygląd, ale pszczoły na wygląd ula nie patrzą. Popróbuj tylko, a zobaczysz. Rój pszczół dostaniesz w lecie mniej więcej za 30 złotych. Wydatek to, na który każdy się zdobyć może. Po roku średnim dla pszczelnictwa otrzymasz od swych pszczółek 20 kilogramów miodu. Liczmy go tanio po 5 zł., czyli że otrzymałeś od włożonego kapitału 100 złotych zysku. Któraż kasa da ci taki procent?

Jeżeli jesteś zamożniejszy lub nie chce ci się samemu czasu tracić nad zrobieniem ula, kup sobie ul gotowy wraz z pszczołami. W marcu, kwietniu lub maju zapłacisz 100 złotych, a może i mniej. W przeciągu czerwca i lipca pieniądz wydany wróci ci się, a pień z pszczołami pozostanie zadarmo. Gdy nie masz pieniędzy, pożycz, a warto zapłacić za kilka miesięcy kilka złotych procentu, a pszczółki nietylko na procent, ale i na kapitał zarobią.

A może się obawiasz, że będzie rok zły dla pszczół i ty włożony kapitał stracisz? Może i tak czasem się zdarzyć, ale, mając stawiać dom, lub siać zboże, czyż dlatego nie będziesz stawiał domu, że może go pożar zniszczyć, a nie będziesz siał zboża, gdyż może je grad wytłuc. O nie powstrzyma cię tu żadna obawa, dlaczegóżby więc miała cię powstrzymywać obawa przed zakupnem pszczół?

Przyjmijcie, Drodzy Czytelnicy, moją dobrą radę i zostańcie wszyscy w tym przyszłym roku pasiecznikami, a przyszłą Wigilję będziecie mieli wszyscy tak słodką, jak słodkim jest miód.

KRONIKA.

Wszystkim Współpracownikom, Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom „Roli" przesyłamy jak najserdeczniejsze życzenia „Wesołych świąt" i „Szczęśliwego Nowego Roku".

Redakcja i Administracja „Roli".

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki dla wszystkich naszych Prenumeratorów.

Nasze powieści. W numerze 1 „Roli" z 1931 r. rozpoczniemy równocześnie druk dwóch nowych powieści, a mianowicie historycznej i awanturniczej. Pierwsza z nich przeniesie nas w czasy XVII wieku, kiedy to nasi praojcowie zmagali się z wrogami, którzy ze wszystkich stron Ojczyźnie naszej grozili. Tłem powieści będzie wyprawa przeciw Turkom, na której kanwie rozsnują się afekty miłosne trzech osób, a mianowicie rotmistrza Plichty, Halszki Jaszczołdówny i uroczej córki kupca ormiańskiego Ibraima Mitrasa, Admy. W drugiej przeżyjemy wraz z jej bohaterem tysiączne przygody na odludnej wyspie, do której nigdy żaden okręt nie przybijał. Obydwie powieści pisane są stylem nadzwyczaj zajmującym, a treść ich przykuwa uwagę Czytelnika od początku do końca. Tytuł pierwszej „Cecora" zaś drugiej „Na bezludnej wyspie". Kto chce więc mieć całość tych powieści, niech nie zwleka z nadesłaniem prenumeraty, aby później początkowych numerów nie brakło. Zważywszy na nadzwyczaj obfitą treść literacką „Roli", na wielką ilość informacyj w „Kronice" i „Rzeczach ciekawych", na liczne i piękne ilustracje i pokaźną objętość każdego numeru „Roli", każdy przyznać musi, że „Rola" jest najtańszem i najlepszem pismem ku pouczeniu i rozrywce w całej Polsce.

Kontrola wojskowa. Ministerstwo spraw wewnętrznych wydało okólnik co do usprawnienia systemu poszukiwania osób, uchylających się od poboru. W najbliższym czasie przeprowadzona będzie ścisła ewidencja wszystkich podległych poborowi celem stwierdzenia wypadków uchylania się od powinności wojskowej. Kontrola ta rozpocznie się już w styczniu, kiedy ma być poddany dokładnej rewizji cały rocznik 1908, w lutym rocznik 1907, w marcu 1906, w kwietniu 1905 i 1904 r. Poza tem ministerstwo poleca stałe stosowanie jak najenergiczniejszej kontroli.

Ustalenie cen soli. Ministerstwo skarbu zreorganizowało sprzedaż soli, wprowadzając monopol solny na całym obszarze Rzeczypospolitej. Organem, powołanym do nabywania na potrzeby monopolu solnego i sprzedaży soli, jest Biuro sprzedaży soli z siedzibą w Warszawie, podległe ministrowi skarbu. Przedmiotem obrotu może być sól, nabywana wyłącznie za pośrednictwem tego biura. Ceny detajliczne soli ustalono w wysokości 36 zł. za 100 kg. soli warzonki i białej soli kamiennej, oraz 26 zł. za 100 kg. szarej soli kamiennej wraz z opakowaniem. Wolne składy soli ustalone będą w zasadzie po 1 na powiat. Zezwolenia wydawane na sprzedaż soli na podstawie dotychczasowych przepisów wygasną w dniu 30 czerwca 1931 r.

Walka policji z bandytą. Z Drohobycza donoszą: Dnia 15 b. m. o 7 rano patrol policji natrafił obok rafinerji „Galicja" na niebezpiecznego bandytę Genka Lelewicza, który swego czasu uciekł z tutejszego

więzienia i od sześciu miesięcy był postrachem Drohobycza i powiatu. Ma on między innemi na sumieniu usiłowane morderstwo, szereg napadów rabunkowych i wiele kradzieży. Nastąpiła wymiana strzałów, w czasie której jeden z posterunkowych został ugodzony kulą w pierś. Na szczęście był on chroniony pancerzem, który niedawno dostała policja. W trakcie dalszej strzelaniny Lelewicz został ugodzony kulą w pierś. W stanie beznadziejnym odwieziono go do szpitala w Drohobyczu.

Tragiczny wypadek. Piszą nam z Sidziny koło Makowa, że mieszkanka wsi tamtejszej, Anna Chorążyna, licząca lat 42 poszła onegdaj prać bieliznę do wody niedaleko domu. W czasie prania dostała epilepsji i nim ją zobaczono, straciła życie. Wszelkie wysiłki, aby ją ocalić, okazały się bezskuteczne.

Epidemja grypy. Epidemja grypy przybiera w Polsce zatrważające rozmiary, szczególniej po miastach. Na Górnym Śląsku szpitale są przepełnione chorymi. Epidemją dotknięte są szczególnie miasta Katowice i Królewska Huta. W województwie nowogrodzkiem rozmiary grypy są katastrofalne. W miasteczku Słonim zanotowano w przeciągu trzech ostatnich dni aż 700 wypadków. Największą ilość wypadków zanotowano w Zagłębiu Dąbrowskiem. W niektórych kamienicach wszyscy mieszkańcy są chorzy. 60 do 70 procent młodzieży szkolnej choruje. Znaczna ilość lekarzy pada ofiarą epidemji, przez co zaznaczył się ubytek noszących pomoc chorym. W Sosnowcu postanowiono sprowadzić kilkudziesięciu lekarzy z innych miast Polski. Niektóre biura i urzędy świecą pustkami. Lekarze ordynują przez całą noc. Przeciętnie zapada na grypę w Sosnowcu około 1800 osób. W Wilnie Kasa chorych nie jest w stanie obsłużyć pacjentów. W aptekach tworzą się kolejki czekających. W Poznaniu grypa ma przebieg lżejszy. Liczba chorych jest jednak znaczna. W samym garnizonie poznańskim zanotowano 400 wypadków. Epidemja dotarła także do Małopolski. Szerzy się ona szczególniej w Krakowie. Naogół grypa ma przebieg łagodny, choć nie brak i cięższych wypadków.

W szponach furjatów. Ponurą sprawę, malującą piekło, panujące w szpitalach warjatów, rozważał sąd okręgowy w Warszawie. W Tworkach przebywał pacjent A. Cieślak, chory na kleptomanję. Kradł wszystko, co mu w rękę wpadło, bez żadnej potrzeby i wyrachowania. Ostatnio zaczął zabierać nawet jedzenie, przeznaczone dla innych i chował je pod łóżkiem. Na tem tle wynikały często scysje między nieszczęśliwym chorym a dozorcą szpitalnym, „pielęgniarzem" Józefem Liczberskim. Kiedy mimo najrozmaitszych środków zaradczych Cieślak wciąż kradł pożywienie, pielęgniarz postanowił go raz na zawsze tego oduczyć. W tym celu obmyślił szatański plan. Wepchnął Cieślaka do celi, w której przebywało trzech furjatów. Była to tak zwana siatkówka, czyli cela bez mebli, z przeźroczystemi ścianami drucianemi. Niebezpieczni furjaci byli do siebie przyzwyczajeni i nie robili sobie krzywdy, ale wizyta nieproszonego gościa doprowadziła ich do ataku szału. Kiedy Liczberski po paru minutach zajrzał do celi, aby sprawdzić, jak działa kuracja, znalazł na podłodze zniekształcone zwłoki Cieślaka. Furjaci rozpłatali mu czaszkę i połamali stos pacierzowy. Pielęgniarz Liczberski za brak dozoru stanął przed sądem okręgowym, który, uznając, że nie mógł on przewidzieć nieszczęścia, skazał go tylko na 3 miesiące więzienia, zawieszając mu wymiar tej kary na przeciąg dwóch lat.

Wstrząsająca zbrodnia. We wsi Zagajnikach pow. brzesko-kujawskiego wydarzył się okropny wypadek. Komendanta posterunku policji zawiadomiono, że w domu niejakiego Cygana leżą zwłoki ludzkie. W czasie dochodzeń okazało się, że są to zwłoki młodzieńca, który onegdaj przybył do wsi i dopytywał się o dom Cyganów. Zamordowany on został siekierą. Dalsze śledztwo ujawniło okropne szczegóły zbrodni. Okazało się, że zamordowanym jest 32 letni syn Cygana, Andrzej, który przed wojną wyemigrował do Ameryki, tam dorobił się majątku i powróciwszy do kraju, przywiózł gotówkę. Przez 18 lat pobytu zagranicą zmienił się do tego stopnia, że rodzice go nie poznali i w ciągu nocy zamordowali, widząc u niego dolary. Po ujawnieniu tej strasznej prawdy matka doznała tak silnego wstrząsu nerwowego, że musiano umieścić ją w szpitalu. Dalsze śledztwo w toku.

Potworna zbrodnia. Terenem niesamowitej tragedji rodzinnej była wieś Polinów-Manryki, położona w gminie Zakanale, pow. konstantynowski. We wsi tej zamieszkuje rodzina Żuków, składająca się z ojca, matki i trzech dorosłych synów, z których najstarszy, Stefan Żuk, dwa lata temu na tle doznanego zawodu miłosnego, począł zdradzać objawy melancholji. W pewnych okresach choroba Stefana, która naogół nie była niebezpieczna dla otoczenia, przybierała formy ostrzejsze. Chory wówczas stawał się niespokojny, rzucał się na domowników i sąsiadów, bił ich i groził, że podpali domostwo i całą wieś. Podczas takich ataków furji domownicy zwykle wiązali chorego i zamykali w szopie. Nagle Stefan Żuk zniknął ze wsi. Zapytywani przez sąsiadów ojciec jego i bracia twierdzili, że Stefan o świcie wyszedł z chaty i nie wrócił. Po upływie kilku dni rybacy na rzece Bugu wyłowili w pobliżu wsi Orle (powiat brzeski) topielca, młodego mężczyznę, lat 25. Topielec miał ręce związane z tyłu mocnym sznurem, zaś do nóg przymocowana była szmata, w której znajdował się kamień wagi 5 kilogramów. W znalezionym topielcu rozpoznano zaginionego niedawno Stefana Żuka. Podejrzenie odrazu padło na rodzinę Żuków, którzy z początku wypierali się jakiegokolwiek udziału w zbrodni, później jednak, wobec zgłoszenia się dwu świadków, którzy krytycznego dnia widzieli ich idących w stronę Bugu wraz z obłąkanym, przyznali się do winy. Plan zbrodni ułożył ojciec, Teodor Żuk, który był w zmowie z synami: Aleksandrem i Janem. Matce nic nie powiedziano. Krytycznego dnia o świcie obudził ojciec wszystkich trzech synów i udano się nad Bug. Gdy doszli do rzeki, ojciec i dwaj bracia rzucili się na nieszczęśliwego Stefana, związali ciężki kamień do nóg i rzucili do wody. Jako powód swej zbrodni Żukowie podają, że chcieli się pozbyć Stefana, który ostatnio zagrażał ich życiu. Żuków aresztowano i przekazano władzom sądowym.

Orgje bezbożników rosyjskich. W związku ze zbliżającemi się świętami Bożego Narodzenia, związek wojujących bezbożników, poczynił obszerne przygotowania do wielkiej akcji przeciwreligijnej. Do prezydjum CIK-a sowieckiego wpłynął wniosek miejscowych organizacyj bezbożników o zamknięcie 115 świątyń w rozmaitych miejscowościach. Jednocześnie związek bezbożników podjął inicjatywę celem zmiany nazwy sowieckiego Czerwonego Krzyża. Zdaniem bezbożników nazwa ta nie odpowiada komunistom i powinna być zmieniona, gdyż wyraz krzyż należy do pojęć burżuazyjnych. W Moskwie zmobilizowano 100 profesorów wyższych uczelni sowieckich, celem urządzenia wykładów przeciwreligijnych. Również w teatrach sowieckich przygotowywane są rewje przeciwreligijne, ośmieszające ceremonje kościelne. Wydano zakaz artystom i chórom teatrów sowieckich śpiewania modlitw i pieśni religijnych w świątyniach. W słynnej Ławrze Pieczerskiej w Kijowie ma być urządzony karnawał przeciwreligijny, którego pun-

ktem kulminacyjnym ma być otwarcie grobowców ze szczątkami świętych.

Młodociana fałszerka. W miejscowości Zellhof położonej w Górnej Austrji napłynęły do tamtejszej żandarmerji liczne skargi na kursujące w obiegu fałszywe 50 szylingowe banknoty. Falsyfikaty te były łatwe do rozpoznania, ale ponieważ puszczano je w kurs bardzo zręcznie, płacąc niemi wieczorem i przeważnie przy słabem świetle rozmaitych pomniejszych sklepów, były one przyjmowane za dobrą monetę i naraziły na stratę wiele w ten sposób poszkodowanych osób. Niezadługo jako rozpowszechniającą te fałszywe banknoty przyaresztowano niejaką 26-letnią Teresę Imdorfer, córkę jednego z okolicznych włościan. Po przesłuchaniu jej wyszło na jaw, że fałszywe te papierki produkowane są przez jej 13 letnią siostrę Krystynę, uczenicę miejscowej szkoły powszechnej. W domu rodziców tego zaprawdę cudownego dziecka przeprowadzono rewizję i znaleziono na stryszku stodoły coś w rodzaju bardzo prymitywnego warsztatu, którym posługiwała się dziewczynka przy wyrobie falsyfikatów. Krystyna, wybitnie zdolna rysowniczka, z prawdziwem zamiłowaniem kopjowała 50-szylingówki, które siostra jej następnie puszczała w obieg. Jako nieletnia, nie poniesie ona kary za swój czyn, z którego wagi rzeczywiście nie zdawała sobie tak dalece sprawy, siostra jej jednak została zaaresztowana i stanie przed sądem pod zarzutem puszczania w obieg fałszywych pieniędzy.

Ciężki los najcięższej kobiety. Jest rzeczą znaną, że chudnięcie w bardzo wielu wypadkach powodowane jest zmartwieniami. Z tego też względu fakt schudnięcia nieraz już był uważany przez sędziów amerykańskich za poważny powód do rozwodu. Jakże zdumiony był jednak sędzia w Los Angeles, gdy zjawiła się przed nim petentka, ważąca na oko conajmniej 150 kilo, a jak się okazało 168 kilo i 739 gramów i podała jako powód swego żądania rozwodowego — schudnienie. Wyglądało to na zły koncept, było jednak prawdą. Petentka, miss Viola Barton przed zamąpójściem popisywała się w cyrku i ważyła wówczas 231 kilo. „Baby Viola“ — jak ją wówczas nazywano — była ulubienicą publiczności i była doskonale za swe występy wynagradzana. Mąż jej, za którego wyszła z miłości, zawiódł jednak pokładane w nim nadzieje, bowiem wkrótce po ślubie zaczął ją zaniedbywać, dokuczać jej i bezceremonjalnie zdradzać. Ze zmartwienia „Baby Viola“ zaczęła chudnąć i to w bardzo szybkiem tempie, gdyż w ciągu roku ubyło jej 62 kilo. Co gorsza, strata na wadze spowodowała znaczne zmniejszenie jej zarobków. Nie chcąc schudnąć poniżej wagi, mogącej imponować publiczności, a widząc, że dalsze pożycie z mężem doprowadziłoby ją do tego, wniosła skargę rozwodową. Sędzia uznał ważność tych motywów i żądanie „Baby Viola“ uwzględnił.

Tragiczna omyłka. Jak z Bogoty (Kolumbja) donoszą, na klinice dziecięcej w Medellin pewien lekarz użył do szczepienia dzieci surowicy dyfterytu. Wskutek pomyłki lekarza zmarło już 19 dzieci a 30 dalszych ofiar walczy ze śmiercią. Pomyłkę zauważono dopiero wtedy, gdy kilkoro szczepionych dzieci pochłonęła śmierć. Wezwano największe powagi lekarskie z całej okolicy celem ratowania reszty dzieci od śmierci. Wypadek ten wstrząsnął mieszkańców do tego stopnia, że wielu z nich usiłowało wtargnąć do szpitala, aby lekarza zlynczować, czemu jednak policja przeszkodziła.

Pies wybawcą. Pewien osadnik amerykański, zamieszkały w miejscowości Minesota, opowiadał następującą przygodę: Utrzymując się ze sprzedaży skór zwierzęcych, stawiałem w lesie pułapki na zwierzynę. Pewnego dnia wyszedłem obejrzeć, czy nie złapało się jakie zwierzę. Ale śnieg spadł świeży i nie mogłem odnaleźć pułapki. Wtem gdy zrobiłem krok naprzód, rozległ się trzask suchy i żelaza, ukrytej pod śniegiem pułapki, chwyciły mi nogę silnie powyżej kostki. Zachwiałem się i jęcząc zwaliłem na ziemię. Ból był tak dotkliwy, że straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, rozpocząłem oględziny. Silne klamry obciskały mi nogę jak kajdany, wszystkie wysiłki, aby się z nich wydobyć, były nadaremne, gdyż potrzeba było do tego odpowiednich narzędzi, a właśnie worek z narzędziami pozostał zapomniany w domu. Pomyślałem o strasznej śmierci, jaka mnie czekała: gdy tak uwięziony stanę się pastwą wilków. Noga tymczasem już zesztywniała, a ostre żelaza wciskały się coraz głębiej w ciało.



W tem strasznem położeniu wzrok mój padł na psa, który niespokojnie patrzył na mnie. Pogłaskałem go. Pies, jakby rozumiejąc, badawczo spoglądał to na mnie, to na żelaza. Potem obwąchał moją nogę a zobaczywszy krew, zaczął wyć przeraźliwie. Wtedy zbawcza myśl wpadła mi do głowy. Patrząc psu w oczy wymownie, mówiłem powoli a wyraźnie: „Potrzeba mi mojego worka. Idź do domu. przynieść worek“. Każdy wyraz wymawiałem z naciskiem, ukazując mu żelazo, ślady i kierunek, w którym znajdowała się chata. Pies obwąchał nogę i ślady, ale zaczął gryźć żelaza i chciał nogę moją z nich uwolnić. Nie traciłem jednak nadziei. Wydobyłem z kieszeni małą łapkę i wskazywałem ślady. Wtedy popędził, nie zatrzymując się. Czyżby mnie rozumiał? Może odniesie łapkę i sam wróci? Próbowałem nożem zaciśnięte kleszcze otworzyć — nadaremnie! Minęła długa godzina, zrobiło mi się słabo i omdlałem. Jak długo to trwało, nie wiem. Gdy się ocknąłem, pies leżał mi na piersi i lizał po twarzy. Podniosłem głowę, spojrzałem — i o dziwo! Koło mnie leżał mój worek z narzędziami, a z nim ocalenie. Otrząsnąłem się ze zdumienia i zabrałem do oswobodzenia nogi. W kilka minut byłem wolny i zawlokłem się do chaty, a w dwa tygodnie później zdrów. Możecie łatwo pojąć, że nie rozstawałem się już nigdy z moim czworonogim przyjacielem i wybawcą.

Masowe najście lwów. Gazety angielskie donoszą z Johannesburga (Afryka południowa), że w Niassie zauważa się po okresie deszczów tropikalnych, najście lwów. Tubylcy odmawiają pracy w plantacjach, jeżeli nie dają im straży i domagają się, by zwalniano ich od pracy wcześniej, by potrafili wrócić do swych osad jeszcze przed zmierzchem. W jednym tylko okręgu dwa lwy, tak zwane „ludożercy“, rozszarpały 34 tubylców. W pewnej miejscowości lwy porwały nawet stróża nocnego, który dyżurował na werandzie domu europejskiego. Tubylcy uzbroili się w topory i dzidy, a Europejczycy w karabiny i rewolwery. Ludność żąda przysłania do Niassy pułku strzelców, celem urządzenia obławy na drapieżników.

RZECZY CIEKAWE.

Zwyczaje wigilijne w Polsce.

Wszędzie na ziemiach polskich wigilja Bożego narodzenia od wieków miała ze wszystkich świąt roku najwięcej cech uroczystości rodzinnej, a wieczerza wigilijna swój różnorodny ceremonjał, który wytworzyła, z pokolenia w pokolenie przechodząca, wiara w osobliwość tej nocy „kiedy się Chrystus narodził".

Wiele zwyczajów wigilijnych do dziś zachowało się wśród ludu wiejskiego w różnych okolicach kraju.

Nadchodzi czas siadania do wieczerzy — przedziwnie uroczysty nastrój wytwarza się wśród domowników. Gospodarz pilnuje, aby się wszystko działo według tradycji, a i młodzi, zwykle przekorni, po swojemu patrzący na świat, też nabierają mimowolnego szacunku dla nakazów przeszłości. Gospodyni krząta się dokoła zastawy na stole wigilijnym. Nielada kłopot miewa, jeśli nieparzysta jest liczba domowników. Zły to omen, jeśli do wieczerzy nieparzysta liczba zasiądzie, znak, że w ciągu roku ktoś z tej liczby ubędzie. Więc jeśli nieparzysta liczba domowników, na gwałt kogoś obcego zaprasza się na wieczerzę, a niełatwa to sprawa, bo każdy choćby najskromniej, ale u siebie chce spędzić wieczór wigilijny. Nieraz bywa znowu inny kłopot: domowników jest „w sam raz", a tu jakiś niespodziewany gość, a zwyczaj nakazuje, aby każdego w ten wieczór przyjąć, choćby to był śmiertelny wróg, posadzić do wieczerzy, przełamać się z nim opłatkiem i życzyć „dosiego roku".

Zastawa stołu wigilijnego, na którym pod obrus podściela się siano, składa się — zależnie od zamożności domu — z pięciu do jedenastu dań, ale koniecznie z nieparzystej liczby dań. Potrawy wigilijne w różnych okolicach kraju bywają różne: śledź, zupa grzybowa, ryby, kluski z makiem, kompot ze śliwek, a z trunków gorzałka czysta, albo z miodem. Na Kresach wschodnich nieodłączną potrawą wigilijną jest „kutja" z pęcaku, lub perłowej kaszy z miodem, pozatem zupa, kisiel, ryż, łamaniec z miodem.

W niektórych okolicach przy stole wigilijnym zostawiane jest wolne miejsce dla duchów zmarłych członków rodziny. Huculi naprzykład, siadając do wieczerzy wigilijnej, uroczyście wzywają „boże i grzeszne dusze na tamtym świecie do wieczerzy". Rozrzucają też po rogach izby bób, w kątach zaś ustawiają po trochu każdej potrawy. Białorusini na stole obok swoich talerzy kładą dla duchów jedzenie i z każdego kieliszka odlewają trochę na obrus.

Każdej potrawy z wieczerzy wigilijnej trzeba przynajmniej spróbować, bo zwyczaj głosi, że ilu kto potraw przy wieczerzy nie spróbuje, tyle go w przyszłym roku radości i szczęścia ominie. Wołają też gospodarze podczas wieczerzy: „ptaszęta, wróblęta, chodźcie z nami obiadować!" a w Krakowskiem wołają nawet wilka: „Wilcosku, wilcosku, siądź z nami dziś do obiadu", albo też, rzucając groch o ścianę: „wilku, wilku chodź do grochu, jak nie przyjdziesz, to nie przychodź dosiego roku".

W niektórych okolicach wróży się podczas wieczerzy i zamawia szczęście i dostatek na przyszły rok. Najbardziej rozpowszechnionym w całej Polsce jest zwyczaj rzucania przy jedzeniu grochem w górę ze słowami: „aby dobytek mnożył się tak licznie — i zdrowy wybrykiwał tak wesoło, jak ten groch podrzucany". Młodzi wróżą sobie o szczęściu i długości życia w bardzo prosty sposób: wyciągają z pod obrusa siano, im dłuższe źdźbło, tem dłuższe życie i więcej szczęścia. Nieraz pod obrus kładzione są upominki gwiazdkowe, albo też różne symboliczne przedmioty, wróżące zamęście lub ożenek, spadek, powodzenie w gospodarstwie.

Po wieczerzy następuje choinka i śpiewanie kolend, aż do czasu pójścia na pasterkę.

Gospodynie tego wieczoru porządków nie robią, zbierają tylko naczynie ze stołu, albo jak w okolicach Wieliczki wszystko nawet zostawiają na stole, „Bo Pan Jezus będzie spał w nocy na stole", w innych okolicach łyżki i resztki jedzenia leżą aż do następnego dnia na stole „dla aniołów i dusz zmarłych, które tej nocy przychodzą się pokrzepić". We wschodniej Małopolsce w czterech kątach izby wylewa się dla nich resztki barszczu wigilijnego, gdzieindziej znowu kładzie się na stole żytni chleb, przykryty opłatkiem i owinięty w białą chusteczkę.

Mniej więc, niż zwykle, mają gospodynie do sprzątania, zato gospodarze tego wieczora staranniej niż zwykle chodzą koło bydła i zwierząt domowych: a to na pamiątkę tego, że zwierzęta były przy Dzieciątku w stajence. Siano, które podścielano pod obrus na stole wigilijnym, rozdziela się między bydło, żeby się dobrze chowało. Ze snopków zboża, które stało przy stole wigilijnym wykrusza się ziarno i wysypuje dla drobiu, a ze słomy kręci się powrósła, którem przewiązuje się drzewa owocowe, aby dobrze obrodziły.

Choinkę, przybraną piernikami, owocami i świecidełkami stawia się na podłodze, umocowując w krzyżaku, albo też zawiesza się u sufitu, co ma przypominać rajską jabłoń, taka choinka nazywa się w Krakowskiem sadem, na Śląsku podłaźniczką, gdzieindziej znowu wiechą. Dzięki tym zwyczajom i żywej tradycji wspomnienia wieczerzy wigilijnej pozostają w pamięci na długo.

Ręka a charakter.

Pewna chiromantka wiedeńska oznacza charakter ludzi z wyglądu ręki. Rozróżnia ona sześć zasadniczych typów rąk: elementarne czyli prymitywne, kanciaste, rydlowate, artystyczne, węzłowate — filozoficzne i psychiczne — myślące ludzi o zdolnościach medjalnych.

Wielki palec długi znamionuje ludzi kierujących się rozumem, krótki — natury uczuciowe. Jeśli w małżeństwie oboje małżonkowie mają długi wielki palec — wojna będzie nieunikniona. Przy zawieraniu związków małżeńskich należy pragnąć, by przynajmniej jedna ze stron miała wielki palec krótki. Ludzie o długim wielkim palcu nie są stworzeni na to, żeby słuchać. Lubią rozkazywać i żeby im służono. Palce wydłużone w szpic wskazują skłonności do kłamstwa, afektacji, lecz znamionują również znajomości sztuki.

Jeśli końce palców są prawie kwadratowe — jest to cechą charakterystyczną ludzi dążących do jasności, miłujących prawdę. Palce kanciaste wskazują na poczucie sprawiedliwości, zamiłowanie do porządku, obowiązkowości i dokładność. Palce rydlowate — niezależność, zamiłowanie do sportu, ruchu, podróży. Palce rozszerzające się ku górze, znamionują rewolucyjne dążności, ale też wstręt do wszelkiej niesprawiedliwości.

Silnie rozwinięty palec średni rydlowaty — skłonność do kaprysów i nudów. Palec czwarty dosięgający niemal długością średniego — zmysł spekulatywny. Ludzi o takich palcach dobrze jest radzić się w sprawach finansowych.

Jedno jest pewne: najlepiej unikać ludzi o palcach krzywych, źle uformowanych, mających duży palec zakończony krótkim paznokciem. Ręka przy uścisku nieco twarda znamionuje człowieka czynu. Ręka miękka — leniucha, który dużo obiecuje, a mało daje.

Jeśli przy podawaniu ręki ktoś odchyla palce na zewnątrz — znak, że jest szczodry, jeśli przeciwnie — skłonny do skąpstwa.

Olbrzymie jaje.

Na wyspie Madagaskar znalezione zostało olbrzymie jaje zniesione ongiś przez jakiegoś przedhistorycznego ptaka, dziś już nieistniejącego.

Zawiera ono w sobie żółtka tyle co 150 normalnych jaj kurzych, przyczem waga jego wynosi 7 kilogramów.

Muzeum w New Yorku ofiarowało za niezwykłe jaje 3 tysiące dolarów, jednak rząd francuski zadecydował wystawić je na najbliższej wystawie kolonjalnej, jako odbędzie się w Vincennes.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp. **Piotr Wenc** w S.: Artykulik otrzymaliśmy. Jak zwykle, dobry; serdecznie dziękujemy. Jakże tam zdrowie? — **Michał Żelazkiewicz** w M.: Słusznie Pan twierdzi, że gazetki polityczne tylko ogłupiają czytelników. Mają one jednak i pewną wartość: mogą się przydać do opakowania różnych przedmiotów. — **Jak Kpisz** w L.: Zwycięstwo wyborcze rządu ma wielkie znaczenie dla kraju, gdyż nie będzie tych walk, jakie były w poprzednim Sejmie. Ale i opozycja jest potrzebna, ale tylko wtenczas spełni ona korzystnie swe zadanie dla społeczeństwa, jeżeli będzie uczciwa i rozumna. Same krzyki nic nie zdziałają dla kraju. Krzyk jest krzykiem i nic on nie zdziała dla społeczeństwa, gdyż nikt się z nim nie liczy. Natomiast rozumne i uczciwe wypowiadanie swych odmiennych poglądów może w niejednem przekonać nawet największych zwolenników rządu. — **Kazimierz Miśka** w N.: W dzisiejszym numerze „Roli" podajemy artykuł o pożytkach z miodu; dalsze artykuły o pszczelarstwie będziemy podawali dopiero z wiosną, gdy się zacznie nowa gospodarka w pasiece. Obecnie pszczółki spoczywają sobie po całorocznej pracy, aby znów z wiosną przystąpić do niej nanowo. W zimie nie należy pszczół niepokoić, gdyż w jakikolwiek sposób poruszone rozlażą się po ulu i giną. Trzeba tylko od czasu do czasu posłuchać przez oczko, czy żyją, a dopiero, gdyby się okazała jakakolwiek niewłaściwość, trzeba jej zapobiec. — **Stanisław Maciąg** w D.: Powieści, których druk rozpoczniemy w następnym numerze, są tak zajmujące, że czyta się je bez wytchnienia. Gdyby ktoś chciał kupić tylko jedną podobną powieść w wydaniu książkowem, musiałby za nią więcej zapłacić, niż całoroczna prenumerata „Roli". — **Tadeusz Frączek** w R.: Tak wierszyk, jak i szarady dobre — przeznaczamy je do druku. — **Jacek Orlik** w L.: Wierszyki otrzymaliśmy. — **Wawrzek Miesiączek** w L.: Za życzenia serdecznie dziękujemy. — **J. G.** w J.: Z krzyżówek będziemy się starali skorzystać, jednakże na układ drukarski niebardzo się nadają. Przy przesyłaniu prenumeraty prosimy na czeku nadmienić, że to dwie prenumeraty i napisać też adres drugiego prenumeratora. Za dotychczasowe starania dziękujemy i polecamy się nadal. — **Jan Masny** w G.: Książek „Generał Bem w Turcji" i „Po prochy Bema" już nie mamy. — **Fr. Lipiński** w K.: Książek „Po prochy" i „Generał Bem w Turcji" już nie mamy. — **Józef Kunda** w N. S.: Utwory otrzymaliśmy, po przeczytaniu odpowiemy dokładniej. Prosimy o podanie dokładniejszego adresu, abyśmy mogli czek wysłać.

Wszystkich PP. Preumeratorów i Czytelników prosimy o jednanie „Roli" nowych prenumeratorów.

Na fundusz wydawniczy nadesłali pp.:
Andrzej Kotlarczyk z Zembrzyc 50 gr. dla Maćka; Karol Syposz z Radziechowy 50 gr. dla Maćka; Stanisław Katlewicz z Bochni dla Maćka na pierogi wigilijne 3 zł; Karol Żyła z Zatora 2 złote dla Maćka; Urbisch Wilhelm z Lipnika 2 zł. 60 gr. dla Maćka na Mikołaja.

1. Rebus.



2. Szarady literowe.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki)

I.

Mówiła mi dwa trzy czwarta,
Panienka szczera otwarta,
Że są milsze dla niej karty,
Całej, niż bóg pierwszy czwarty,
Bo ten całkiem bez wartości,
A ta ma wiele piękności!

II.

Raz dwa trzy na króla dworze
Przebywał zgadniecie morze....
Cztery pięć sześć jedenasty
To zwierz z lasu szczeciniasty.
Raz dwa dziewięć dziesięć dama;
Nawet się odgadnie sama.
Osiem siedem dziewięć płynie,
Ale w niemieckiej krainie.
Całość:.. to już chyba wiecie,
Kiedy ziemniaki kopiecie?

3. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.)

I.

Maciek trzecie, czwarte ma nieco podarte.
Więc kupcie mu nowe, choć na drugie, czwarte.
Pierwsza, druga bywa we śnie nie na jawie.
Całe są to ptaki, coś większe jak pawie.
Żyją w ciepłych krajach, lubią brodzić w wodzie.
Ich okazy mamy w poznańskim ogrodzie.

II.

Pierwszy jest przy drodze, lecz nie przy ulicy.
Pierwsze, drugie — miasto na polskiej granicy.
Trzecia, czwarta w każdym sklepie się znajduje
I nią się w potrzebie kupiec posługuje.
Druga, czwarta jest to ciała część składowa.
Lecz nie jest to ręka, ani nawet głowa.
Całość jest konieczna w jeździe na rowerze.
Co to? pomyśl chwilę i odpowiedz szczerze.

4. Bilet wizytowy.

Icek Diwelepes Turyn.

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 3 stycznia 1931 r.

Ponieważ numer niniejszy musieliśmy wydać kilka dni wcześniej ze względu na święta Bożego Narodzenia, przeto wynik rozwiązań zagadek z Nru 50 „Roli" i wylosowanie nagród podamy dopiero w numerze następnym.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 19 grudnia b. r.

Pszenica	26·00—26·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	20·00—20·50	Ziemniaki stoł.	6·00—6·50
Owies . .	21·00—21·50	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	20·00—20·50	Mąka żytnia	36·50—37·00
Fasola biała	45·00—47·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Groch zwyk.	30·00—35·00	Otręby pszen.	14·00—00·00
Siano słodk.	11·50—12·50	Otręby żytnie	13·00—00·00
Łubin żółty	25·50—26·50	Mąka czerw.	16·50—17·00
Koniczpastew.	15·00—16·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 19 grudnia b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·90 do 1·28 zł.	Jałownik	od 0·85 do 1·24 zł.
Woły . .	od 0·85 do 1·35 zł.	Cielęta .	od 1·90 do 1·98 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·62 do 2·05 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·90 do 2.40